



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 8.0
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. 5 marek

ŻYCIE I PRACA

(Life and Labour by Samuel Smiles).

Są myśliciele i pisarze szlachetni, których dzieła, nie ograniczając się obrębem ich narodowości, stają się własnością całego czytającego ogółu. Angielski moralista, Samuel Smiles, autor *Obowiązku, Charakteru, Własnej pomocy*, należy do ich rzędu: każda z jego książek zostaje natychmiast tłómaczoną na wszystkie niemal języki europejskie, i każda ma sobie zapewnioną pochyłość ogromną. Styl jędrny i nader prosty, przy niepospolitej podniosłości myśli, przykłady—obrazy żywego życia, stawiane w miejsce rozumowań, dają dziełom Smilesa jakąś odrębność, oryginalność pociągającą i zarazem sprządzającą wielką ich popularność, bo od mędrca do prostaczka każdy może je czytać, rozumieć i zajmować się niemi.

Powtórzyć można o każdej z książek Smilesa to, co krytyk jego w „Revue des Deux Mondes,” Marco de Saint Hilaire, napisał o *Pomocy własnej*. „Wielka mądrość, którąby można nazwać blaskiem zdrowego rozsądku (du bon sens) tak, jak Platon nazwał piękno blaskiem prawdy, stanowi charakter twórczości Smilesa.”

To określenie filozofii Smilesa ma podstawę w jego realnem traktowaniu rzeczy: dobro daje szczęście, tylko, że szczęście w jego pojęciu, to spokój ducha i utrzymana godność nasza, to spełniony obowiązek, i czystość sumienia, nieskalane niczem ręce i niepochylona głowa, nieponiżona w nas istota ludzka, niezaparta prawda, nieodstąpiona sprawa święta. „Obowiązek” (Duty) ilustruje najszlachetniej wszystkie wyższe cno-

ty człowieka: męstwo, podniosłość ducha, miłość cnoty, pogardę życia w spodzeniu i książka ta—jak pisała krytyka angielska— oddała wysokie usługi moralne „milionom” czytelników, niezależnie od ich stanu, stronnictwa, położenia światowego. Przykłady patryotycznej ofiary, dumnego stania przy cnotcie, jednakowo wstrząsają pierśią każdego człowieka, jednakowo każą bić jego sercu, jeżeli do tej piersi, do tego serca, które jest w niej, przeniknąć zdołają. Wielka prostota w traktowaniu swego przedmiotu, niezmierna ilość przykładów, czerpanych z życia ludzi czystych i uczciwych; jakieś spokojne a niemniej głębokie uszanowanie dla nich autora, sprawiają ten skutek, że czytelnik przejmuje się mimowolnie tem uszanowaniem, i odczuwa żywo dostojność cnoty, bohaterstwo ofiary, przyczem jego własny poziom moralny podnosi się, poglądy na życie i używanie wyszlachetniają i utrwalają się w uczuciu godności osobistej.

Smiles zdradza wśród tego wyraźną sympatją dla tych wytrwałych, co upadając usiłują jednak dźwigać się na nogi i, chwytając się pojęcia obowiązku, umieją silnie stanąć na jego gruncie twarde, który przecież nie zawodzi. Ten jego zdrowy sens, o którym pisze krytyk francuzki, wybija się tutaj. Nie dowierza on samemu ukochaniu cnoty, jako piękna duchowego, żąda dla człowieka obronnej fortecy moralnego prawa, przy którym nakazuje mu stać silnie pod karą winy i zdradzenia powinności, ale maluje zaraz spełnienie obowiązku w tak heroicznym i wznieśliwych obrazach piękności i podniosłości duchowej, że wzrusza, porywa za sobą uczucie i wyobraźnię.

Podwaliną i podstawą takiego stanu moralnego, któryby pozwolił człowiekowi żyć w zabezpieczającej go odporności przeciw wpływom złego, to siła woli i karność moralna: „the self control” która zmusza do rachunku ze sobą i czuwania nad sobą, jest silnem siebie ujęciem—to wy-

robiony, ustalony charakter. Pisze więc książkę w tym przedmiocie: „The Character” i jasnym prostym, szlachetnym zawsze stylem wykazuje, do jakiej moralnej i umysłowej podniosłości i potęgi dojść może nasza miękka i słaba, lub nieodpowiedzialnie gwałtowna, namiętna natura—jakie zasoby siły i panowania nad sobą można sobie z piersi wydostać i rozwinąć w życiu, pojęciem wedle ideału szlachetnego człowieczeństwa.

Kształcenie to jest przecież dziełem lat całych: długie, powolne, codzienne, cogodzinne pielęgnowanie w nas instynktów i skłonności szlachetnych, zatłumianie złych popędów, łamanie się z namiętnościami. Wyrabianie charakteru jest jakgdyby budowaniem wewnątrz człowieka jakiegoś mocnego i obronnego gmachu, z silnemi zasuwami u podwoi, z ubitą ochronnie tamą przed wzburzonych fal zalewem, z basztą wyniosłą, na którejby czuwał strażnik wierny—sumienie...

Wychowanie jest pierwszym i wielkim działaczem w kształtowaniu się tego moralnego porządku myśli i uczuć, który, tkwiąc w naszej indywidualnej naturze, nazywa się charakterem. Smiles poświęca cały długi rozdział wpływom wychowania na charakter. Od tego nawet zaczyna właściwie, bo rozdział pierwszy: „Znaczenie charakteru,” jest raczej charakteru definicyą, obrazem tego, na czym się on zasadza i co znaczy w życiu narodów i jednostek. Tam gdzie, wśród osobistości pojedynczych przeważa brak charakterów silnych i prawych—ginie naród! Trwałość i potęga wszelkich instytucji społecznych polega na charakterach, i nie ilość osobników ludzkich, ale charakterów—tworzy potęgę narodową.

Wychowanie daje podstawę charakterowi, jest ziarnem przyszłych czynów człowieka. Że przykład jest pierwszym i wielkim nauczycielem, ognisko domowe, gdzie chowa się dziecko, wyrokuje niemal o moralnej przyszłości męża. Wszyscy wielcy ludzie mieli szlachetne i niepospolite

matki. Smiles wymienia cały długi szereg tych kobiet, u których łona, u których kolan wychodowały się geniusze, urabiały się te wielkie potęgi rozumu i serca, mające tworzyć postęp ludzkości.

Rozdział: „Companionship in Mariage” wykazuje drugi wielki wpływ kobiety na podwyższenie się lub niżenie charakterów mężczyzn. Dom jest szkołą nietylko dla dzieciństwa człowieka. Towarzyszka życia, pozioma jako umysł i serce, poniża męczyznę przez ciągły wpływ drobnostek i małości, z których ona świat swój buduje. Smiles kładzie wielki nacisk na moralną atmosferę, którą mąż w domu znajduje: jeżeli nie daje mu ona oddychać pełną pierś, pierś ta z konieczności zwięża się i zaciesnia, a jeżeli, uciekając przed tą torturą duchową, odosabnia się od rodziny, to życie jego uboży się o najłodsze swoje pociechy i te chwile istnienia przez serce, których w ekonomii szczęścia nie zastąpić nie może.

Wpływ książek na wyrabianie charakteru uważa Smiles za bardzo ważny, i nie myli się. Książka może podnosić i poniżać, bo zwraca wyobraźnię naszą do rzeczy szczytnych, lub poziomych i daje myślom naszym przebywanie górne lub niskie.

Czy jednakowo przeżył wyobraźnię i uczuciem lata swe młode ten, kto, jak wymienieni przez Smilesa: Franklin, Napoleon I-y, Turenusz, Henryk IV, karmił sobie ducha Plutarchem i ten, co na ławach szkolnych chwycił ukradkiem liche książki naturalistycznej szkoły bez ideału i godności ludzkiej, i nurzał sobie wyobraźnię w obrazach tam znajdujących? Pani Roland jest także wspomnianą przez Smilesa między tymi, których młode pragnienie wiedzy życia szukało sobie zadowolenia u historyografa wielkich mężów ludzkości, i dlatego też została zapisaną na dziejowych kartach swego narodu, jako kobieta bohaterskiego serca—przyjaciółka Żyrodystów, którzy u stóp gilotyiny śpiewali hymn o nieśmiertelności ducha!

Ostatni rozdział książki: „Discipline of Experience” dobrze zamyka metodę kształcenia charakteru. Doświadczenie każdego roku, który nam ubiegł, to jedna karta nauki życia dla życia przyszłości; kto nie potrafi z uchodzącego czasu takich pożytków dla siebie wyciągnąć, lekkomyślnym jest lub niedołężnym, i starość nie przyniesie mu też swego plonu: tej korony dostojęństwa, dla której nakazanem jest młodości powstawać przed siwą głową. Siwa głowa bez dojrzałości szacunku nie budzi.

Posiadamy polski przekład tej szlachetnej książki, podobnie jak i „Pomocy Własnej.” Wydawnictwa to są „Przeglądu Tygodniowego.”

Wśród szeroko kreślonych rysów moralności społecznej Smiles zdawał się pomijać jedną ważną cnotę praktycznego życia: oszczędność. W *Obowiązku* nic o niej nie było; *Charakter* nie zdawał się potrzebować jej podpory, aby uniknąć tych ciężkich i trudnych prób łamania się duchem z materyalnymi warunkami życia, które przecież zastępują nieraz drogę honoru i najświętszych powinności człowieka, jak to, niestety! widzimy teraz w Poznaniu. Ale umysł tak jasny i spostrzegawczy nie mógł się tej nieuwagi dopuścić i z kolei ukazała się nowa książka wysoko cenionego pisarza: „The Thrift. A Book of Domestic Counsel.” (Oszczędność. Poradnik domowy) a pisma angielskie, pilnujące moralnych stron życia narodowego, podniosły wysoko wartość tego dzieła, o którym Gladstone wspominał na mównicy parlamentarnej, zalecając, aby je czytali synowie ludzi bogatych. I takie też stanowisko zajęła *Oszczędność* w literaturze angielskiej: poradnik domowy stał się jakoby edukacyjną książką dla młodzieży i rodzin. Czytelnikom naszego pisma jest ona znana dobrze, bo tak, jak *Obowiązek*, była im podawana w streszczeniu całymi rozdziałami — wszystkimi, które nie odnosząc się do stosunków wyłącznie angielskich, posiadają ogólne moralne i ekonomiczne znaczenie.

Ale Smiles miał jeszcze coś do powiedzenia narodowi swojemu. Wielkie narzędzie ruchu wśród ludzkości, wielka dźwignia, przez którą człowiek podważał przynajmniej go ciężar

przyrody — siła, która wydobywszy się z jego głębi, uczyniła go wolnym, uczyniła go panem ziemi: praca i jej stosunek do życia ludzkiego, dały angielskiemu pisarzowi przedmiot do nowego dzieła. Pod tytułem: „Life and Labour” (Praca i życie) wyszła świeżo w Londynie książka, której wartość równą jest dla czytelników wszystkich krajów, bo wszędzie ten trud człowieka, który mu znojem wilży czoło, stanowi o szczęściu i moralnej godności jednostek, o bycie lub niebycie narodów. Autor położył na niej motto, wzięte ze starego śpiewaka Georgika: „Labor omnia vincit” (Praca wszystko zwycięża).

Znaczenie moralne pracy, jej łączność z duchowym życiem człowieka zaznacza Smiles w nagłówku pierwszego rozdziału: „The Man and Gentleman” w wierszu wziętym z Thackeray’a:

Zasiej czyn, a zbierzesz nawyknięcie;
Zasiej nawyknięcie, a zbierzesz charakter;
Zasiej charakter, a otrzymasz przeznaczenie.

W przedmowie opowiada Smiles czytelnikowi, że nową swą książkę pisał wedle wzoru: „on the lines” *Pomocy własnej i Charakteru*, mieszcząc tam świeże przykłady, co może w życiu ludzkim „uczciwa siła i wola, wytrwałość stateczna.” Było to dlań miłym zajęciem chwil swobodnych, i pisał też powoli, przez lat kilka, a ten sposób tworzenia tłómaczy zadziwiająca w dziełach jego erudycja: niezmierną ilość przykładów, branych z historii, z życia wielkich mężów, bohaterów lub mędrców. Gromadził je, zbierając z dzieł czytanych, lub żywych czynów ludzkich, w miarę jak mu się dostawały do wiadomości, lub występowały przed pamięć. Dzieła jego noszą też na sobie cechę takiego tworzenia: jest ono spokojne, trzeźwe; że przecież uczucia i przekonania autora są już ustalone, assimiluje on to sobie, nie zbaczając nic z danego kierunku i dając dziełu swemu jeden mocny grunt moralny. Smiles tłómaczy się w końcu przedmowy, że może jest błędem literackim powtarzając się w dziełach jego cytowanie pewnych pisarzy, powtarzając się przykłady z ich życia. Ale nie jest to błędem pisarza jako moralisty: chce on aby pewne istnienia ludzi szlachetnym przykładem wydały z siebie całkowitą naukę, jaka się w nich zawiera.

Czytelnicy nasi znajdują ją w seryi podawanych kolejno streszczeń z *Pracy i Życia*, tak, jak to niegdyś było z *Obowiązkiem*. Smiles jest tak szlachetnym i zajmującym pisarzem, że przyswojenie go nam, choć częściowe, pożytek jakiś przynieść musi, obrazy pracy, dobra, piękna i wytrwałej siły ducha, przed oczy nam stawiając.

M. Ilwicka.

POGA WĘDKA.

Nie lubię polityki, a jednak zajmowałem się nią w ostatnich czasach z manią starego emeryta, który w jednej kieszeni nosi *Kuryera*, a w drugiej, jako członek nowego stowarzyszenia opieki nad głodnymi wróblami (jest i takie już stowarzyszenie w dobroczynnej Warszawie) okruciny chleba, bułek i ziarna wszelakiego.

Telegramy z San Remo i z Paryża zajmowały mnie tyle, ile innego „prywatna korespondencya” rymami i prozą w naszych brukowych Figarkach lub bileciki miłosne, odbierane *poste restante*; o raku niemieckiego następcy tronu naczytałem się tyle, że omal sam w sobie nie upatrywałem jakiegoś gardlanego defektu, a na samo wspomnienie Dr. Mackenziego, chrząkałem już, jakbym był jego pacyentem.

Co do Grévy’ego i zięcia jego „Delfina republiki” miałem kilka chwil prawdziwej emocji, czekając laza chwila wiadomości o barykadach na ulicach Paryża, zapowiedzianych przez p. Droulède’a na wypadek wyboru Ferry’ego na prezydenta Rzeczypospolitej.

Każdy ma swego raka, co go szczypie!—mówiłem sobie, myśląc o p. Wilsonie, który w taki

niegodziwy sposób skompromittował swego teścia i przekonał się, że odwieczna kwestya zięciów jest plagą ojców na rozmaitych stanowiskach społecznych i w rozmaitych stopniach geograficznej szerokości. (A jednak będę musiał kiedyś wydać córkę moją za mąż, jeśli nie dostrzegę w niej wrodzonych skłonności do staro-panięstwa!) Przysłowie o małych deszczach z wielkich chmur okazało się wszelako jednym z najprawdziwszych i najwiarogodniejszych. Patologia polityczna, czy też patologiczna polityka ostatnich czasów, jak się zdaje, przeholowała zanadto, strasząc zapowiedziami „katastrofy nieuniknionej w najbliższych dniach” politykującą Europę; ostatnie pogłoski z widel robią znów igłę, na odwrót,—z raka ślimaka i kwestyonują opinią laryngologów, wydaną w San Remo. Przystałem chrząkać na wspomnienie Dr. Mackenziego i ciekawość moja gorączkowa do czytania „własnych telegramów” w *Kuryerach* znacznie ostygła.

Od czasu zaś wyboru Sadi-Carnot’a na prezydenta Rzeczypospolitej francuskiej i wypogodzenia się horyzontu nad Sekwaną, przestałem uważać złych zięciów za plagę publiczną i zredukowałem ich znaczenie do nieszczęść prywatnych, które bywa dość pospolitą rzeczą, ale nie musi się konieczne przyczyniać do obalenia Rzeczypospolitej.

Sypiam spokojnie, jako ojciec i jako przeciętny czytelnik politycznych przeglądów a jedyną rzeczą, która mi jeszcze dokucza, jest nowa podwyżka cła od importowanego zboża w Niemczech, która wytwarza nową kwestyą ekonomiczną i nowym progiem zagradza drogę naszej pszenicy i żyta. Kolega Prus bierze tę rzecz optymistycznie i utrzymuje, że skoro nam więcej zboża w kraju pozostanie, to będziemy tańszy chleb jedli; chleb może i stanieje, ale rolnik, straciwszy na spodziewanych dochodach z swojego plonu, powiększyć będzie musiał kredkę deficytu i w braku gotówki potrzebnej, nowe długi zaciągać, albo odbijać się na czem innym.

Jednym słowem: nie dobrze jest zarówno, gdy za dużo, jak kiedy za mało mamy chleba. Boże drogi, kiedyż będzie lepiej... czy wtedy, gdy chleb nasz obsiędzie, ale zębów zabraknie?...

W tych wyjątkowych czasach najbezpieczniej jeszcze być chyba głodnym chudeuszem, bo przynajmniej człowiek ma nadzieję pożywić się i ogrzać z łaski bliźniego, który dla chrześcijańskiej miłości (niekiedy w znaczeniu „miłości własnej”) wypełnia cnoty filantropijne i otwiera nocne przytułki na zimę, rozlewa zupę rumfordzką, rozdaje węgle na opał i przyodziewa zziębniętych Łazarzów.

W chwili, gdy to piszę, stuk młotków, skrzywienie pił i rozgardyasz w salach resursy obywatelskiej tworzy nie-kosmiczny chaos, z którego wyblysnąc ma „Gwiazdka” dla biednych starców, kalek i sierot zostających pod opieką Towarzystwa Dobroczynności. O ile wnioskować mogę z przygotowań, będzie to *das alte Kunststück auf dieselbe Manier*, inaczej mówiąc: stary kawał pod nową nazwą. Dawny bazar stał się kiermaszem, dawny kiermasz przeważał się „gwiazdką.” Będziemy zatem mieli znane namioty ze znanymi firmami, znane damy w sklepach własnych i cudzych rozdające uśmiechy darmo, a rozmaite przedmioty po znanych cenach niskich, nie kładąc tamy znanej dobroczynności; będziemy mieli estradę popisów ze znanym programem niespodzianek dla wszystkich zmysłów estetycznych i t. p. Nawet nie braknie znanej „Jednodniówki” z kolekcją artykułów naszych znanych literatów i dziennikarzy, którą sprzedawać będą na sali „gwiazdkowej.”

Wszystko jedno, byle cel był osiągnięty i byle zebrano trochę grosza dla biednych. Z konieczności dochód musi wypaść mniejszy, niż roku zeszłego, bo i publiczności mniej zmieści się w salach resursowych, aniżeli w Cyrku, w którym dzisiaj konie i hecarze pana Schumanna zabawiają amatorów koziołka i figłów błazeńskich.

Nie byłem tam jeszcze, ale słyszałem, że czworonożni artyści przewyższają swemi popisami dwunożnych kolegów.

Sztuka hippiczna nie rywalizuje już tak zwycięsko, jak dawniej, ze sztuką dramatyczną i nie

odciąga widzów naszemu teatrowi, który nie ma powodu się skarżyć na brak widzów i słuchaczy.

Opera, dzięki Miss Elly Russel, zaatlantyckiej primadonnie, goszczącej obecnie na naszej scenie, cieszy się niezwykłym powodzeniem kassowem. Ten amerykański słowik (powiedziałbym w postaci pulchniutkiej pulardy dla lepszego określenia) ma szczęście do naszych melomanów; mało obcych śpiewaczek kroczyło u nas po tyłu kwiatkach, co panna Russel, mało z nich wywiozła tyle upominków galanterii, ale mało też primadon rozrzuciło tyle całusów, po całej sali od krzesel do paradyżu, co ona. Śpiewaczka z niej niepospolita, to prawda, z głosem dużym i z biustem niemałym, z rutyną wielką i ze sztuką zjednywania sobie wielbicieli, a jedno przy drugim składa się na powodzenie, którego jej inne koleżanki pozazdrościć-by mogły.

Nie wszystko wszelako, co przyjeżdża do nas z Ameryki cieszy się jednakiem powodzeniem — niestety!... Przyjechał Tymoteusz Adamowski (niegdyś pieszczotliwie w kołach bliższych znanych krótko Tymciem nazywany), skrzypek-artysta, wirtuoz wyborny, który Warszawę pożegnał, jako uczeń, a wrócił do niej, jako profesor Konserwatorium w Bostonie; dawał koncert w Wielkim Teatrze do spółki ze swoim bratem wiolonczelistą, i pomimo rozgłosu, jaki go z za Oceanu, a ostatnio z Anglii poprzedził, w sali były pustki.

Zagrał swoim i odjechał grać obcym, którzy go będą słuchali i oklaskiwali, że aż echo dochodzić będzie do nas zpoza morza, a my znowu Ameryce odwiedzimy się, gdy przyjedzie jaka panna Russel, albo jaki magnetyzer w rodzaju Cumberlanda.

Większe szczęście miał p. Mieczysław Frenkiel, artysta sceny lwowskiej, utalentowany komik, który swego czasu wyróżniał się bardzo korzystnie wśród uczniów ze szkoły Derynga. P. Frenkiel także od nas wyjechał przed kilku laty, jako nowicjusz, jako materyał, a powrócił jako renomowany aktor, ulubieniec krakowskiej i lwowskiej publiczności.

Natura stworzyła go na komika, dała mu twarz tak charakterystyczną, że wystarcza spojrzeć na nią, aby nabrać dobrego humoru. Na scenie wykazał p. Frenkiel wiele cennych zalet talentu i rutyny; przede wszystkim gra swobodnie z podziwu godną prostotą i naturalnością, zachowuje właściwą miarę w komizmie, znać po nim dobrą szkołę niższą pod kierunkiem Derynga, wyższą pod okiem p. Koźmiana w Krakowie.

Z młodszego pokolenia nie znam nikogo dotychczas na polskich scenach, któryby go, jako komika, przewyższał i większe budził na przyszłość nadzieje. W rolach charakterystycznych jest wyborny, bawi i rozśmiesza, choć nie rozgrzewa, w humorze jego brak uczucia, jest tylko prawda, realizm dobrze pojęty i swobodna naturalność.

Po co właściwie przyjechał do Warszawy — nie wiem; we Lwowie go cenią, lubią, chwalą, oklaskują, wynagradzają należycie; u nas w dzisiejszych warunkach musiałby się przede wszystkim taniej ocenić, aby go nabyć chętno. Dla młodych talentów wejście na scenę podobnym jest do ewangelicznego ucha od igły, przez które wielbłądy mają przelazić; kto się umie wyciągać lub kurczyć wedle potrzeby, ten miewa jeszcze jakie takie widoki przed sobą.

Dajmy pokój teatrowi.

Czy widzieliście już najnowszy obraz Siemiradzkiego w naszym warszawskim Salonie?... przedstawia on Szopena, grającego wobec rodziny i gości ks. Antoniego Radziwiłła. Nie poznalibyście w tym dziele tegosamego pędzla, który malował „Świeczniki chrześcijaństwa“; wszystko tu odmienne od tematu do kolorytu i sposobu malowania.

Ten obraz jest niespodzianką talentu, który dotychczas lubował się w klasycznych motywach, w przepychach, w świetlanych krajobrazach, słonecznych efektach, marmurach i bronzach starożytności. To nie tensam Siemiradzki, co w „Tańcu wśród mieczów“ lub „Handlarzu amuletów.“

Z perystylu Cezarowych pałaców, z gajów greckiej sielanki przeszedł mistrz do salonu, wy-

łożonego dywanem, zastawionego meblami nowoczesnymi, zapelnionego półmrokiem, którego odbłask świec woskowych w kinkietach nie rozprasza dostatecznie. Zamiast nadobnych Rzymianek i cór Hellady w Chlamidach, widzimy tym razem wytworne damy w strojach z czasów Księstwa Warszawskiego, mężczyźni we frakach i pantalonach obcisłych, fiziognomie z portretów przed laty sześćdziesięciu malowanych. Przy fortepianie, w stroju eleganta tej epoki, siedzi Szopen i gra, przed nim środkową grupę zajmują dostojny gospodarz domu z swą córką, prawdziwie w dosłownym znaczeniu „najjaśniejszy oświecony“ książę Radziwiłł, dokoła usadowieni i rozstawieni domownicy i goście, pomiędzy którymi i stary Humboldt się znajduje. Wszyscy słuchają w skupieniu ducha, ale zarazem z tą arystokratyczną dystynkcyą, która nie pozwala za- nado się „eszofować.“

Wiadomo, że Szopen przy swoich improwizacjach w ściślejszym kółku nie lubił światła, najchętniej otaczał się mrokiem i wtedy grał najpiękniej, gdy cień okrywał jego twarz; artysta starał się widocznie ten szczegół zachować także na swym obrazie, skutkiem czego figura Szopena wyszła zaciemnioną, mniej wyrazistą od reszty, twarz w ostrym profilu, jaki powszechnie widzimy na portretach i medalionach jego, straciła na natchnionym wyrazie, którego w chwili improwizacji domyślać się należy; natomiast na pierwszy plan, w ognisku światła, rzuca się w oczy przede wszystkim arystokratyczna postać księcia, siedzącego w fotelu z ściągniętą pańską nonszalancyą, z nogą założoną na nogę, zwróconego *en face* do widza. Siedzi doskonale, ale nie powiem, ażeby mi się wydał doskonale zasłuchanym w tę cudowną muzykę; ma minę raczej, jakgdyby pozował do portretu.

Ta portretowość w figurach główniejszych krękpować musiała artystę, który zamiast swobodnej, natchnionej kompozycji, malował jakby na obstalunek familijną grupę do książęcej galerii konterfektów. Z tego względu może nawet na pierwszy plan wysunął się więcej gospodarz domu, niż jego gość znakomity, a obraz właściwiej mógłby nosić tytuł: „Ks. Radziwiłł, słuchający Szopena,“ nie Szopen, grający w salonie ks. Radziwiłła.“

Ciemny koloryt, tym razem usprawiedliwiony, zewnętrzny charakter epoki w fiziognomiach i modach, bardzo dyskretne wstrzymanie się od wszystkich niewłaściwych efektów światłocienia, cały ogólny ton obrazu, nadają mu pomimo zupełnej świeżości cechy starego malowidła, kompozycyi antydatowanej, że tak powiem. Chciał tego Siemiradzki, i to mu się wybornie udało. W sztychu, lub w fotograficznej kopii, zdaje mi się, jeszcze lepiej się wyda, niż w oryginale; członkowie Towarzystwa zachęty do sztuk pięknych, otrzymają taką reprodukcję, jako premium w roku przyszłym.

Artysta pracuje obecnie nad nowym obrazem większych rozmiarów, o którym głucho tylko dał znać do Warszawy, a który, jego zdaniem, lepiej się podoba publiczności.

Zapewne nasze pisma ilustrowane podadzą wkrótce swym czytelnikom ostatni utwór Siemiradzkiego, który dla tych, co nie znajdują sposobności poznać oryginału, będzie nader interesującym nabytkiem.

Nasze obrazkowe wydawnictwa powiększyć ma od nowego roku nowe pismo zeszytowe pod szerokim tytułem: „Świat,“ wychodzić będzie w Krakowie a stworzy go dwóch ojców: Zygmunt Sarnecki i Piotr Stachiewicz, co pozwala się spodziewać, że w tym *Świecie* strona literacka i strona malownicza, staną zupełnie na wysokości swego zadania. Sarnecki, doświadczony redaktor i utalentowany pisarz, Stachiewicz znakomity ilustrator i artysta, dobrali się bardzo szczęśliwie na spółkę kierowniczą pisma, które nie ma rywalizować z innymi ilustracyami, ale będzie wyróżniało się odrębną i sobie właściwą cechą.

Powitamy nowego kolegę w prassie życzliwie, bo dowiedzie on, że pomimo tych ciężkich czasów, nie opuszczamy ręk i pracujemy nad tworzeniem nowych „Światów,“ w którychby dla dobrej my-

śli, dla świeżego natchnienia, dla talentów twórczych przybyła nowa dziedzina działalności.

Trzeba przyznać, że w naszym literackim światku pobudza się ją sztucznymi środkami coraz gorliwiej. Oto mam np. przed sobą projekt „Kłosów“, który roi się pokuszeniami dla ludzi pióra i ołówka. Redakcja zapowiada cały szereg konkursów dla nowellistów, malarzy, rysowników, i ludzi myślących. Na początek wzywano w pierwszym rzędzie belletrystów, żądając od nich „bezwzględnie“ dobrej nowelli w obszerności 800 — 1000 wierszy za nagrodą rs. 150 i honoraryum od wiersza; następnie stanąć mają w szrankach artyści i dylletanci, poświęcający się dekoracyjnemu malarstwu, co kwartał zaś redakcja ogłaszać zamierza do obrobienia temata z zakresu etyki i spraw społecznych.

Gotujcie pióra i ołówki, farby pędzle — no, igłowy pomysłowe, bez których na takich turniejach nie można być zwycięzcą.

Tygodnik *Powszechny* (świeć Panie nad jego rocznikami!...) dał przed kilku laty inicjatywę do konkursów rysowniczych, spadkobierca jego *Ilustrowany* przejął tę tradycję i rozwinął ją w kierunku belletrystycznym, *Kłosy* rozszerzyły teraz drogę konkursową.

Boże, dziękuję Ci, że jestem literatem w tych ciężkich czasach, i że mi przynajmniej nadziei zjadania chleba, pieczonego na laurowych liściach nie skąpiś!...

Skarżyło mi się kilku literatów, że to liście są gorzkie, — ba, ale cóż dzisiaj niema w sobie goryczy...

Zanotowałem sobie w kalendarzu na rok przyszły termin wszystkich konkursów, i kto wie, czy nie pójdę na pokuszenie.

A wiecie jaki do wszelkich notatek najlepszy bywa kalendarz?... myślicie, że poważny brzucach „Józefa Ungra,“ naładowany literaturą, informacyami i inseratami, albo jego młodszy sobowtór „Kalendarz Wieku,“ albo dowcipna i uśmiechnięta „Warszawianka,“ albo który inny?... Wszystkie są oobre do czytania, a nawet do schowania w biblioteczkę, ale na biurku tylko kalendarz St. Winiarskiego przez cały rok leży, jak dopasowany, i służy wiernie, jako teka do papierów i jako bibuła, jako notatnik, jako poradnik wexlowy, stemplowy etc., i jako różowy przyjaciel, który bladym zmierzniałym licom rzuca rumieńce przez reflex swego koloru.

Quis.

IRLANDCZYK U SIEBIE.

Opis kraju i mieszkań Irlandzkich. — Opłakany stan Irlandyi i niedza tam panująca. — Historia cierpień Ludu Irlandzkiego i smutne przyczyny zjad wynikłe.

Charakter Irlandczyka przedstawia mieszaninę najróżnorodniejszych i najsprzeczniejszych właściwości — obok mnóstwa zalet i przymiotów, silniej od nich rozwinięte wady. Irlandczyk, obdarzony z natury poetyczną, bogato rozbudowaną wyobraźnią, łączy w sobie: namiętność, lekkomyślność, wysokie poczucie szlachetności i niezależności. Najwybitniejszym znamięm charakteru Irlandczyka jest niezmierna gościnność i nieograniczona ufność do każdego, kto choć jedno dobre słówko zamieni. Nadzwyczaj łatwo wierny i szczery, gotów jest Irlandczyk każdemu się przysłużyć, z każdym ostatni kęs chleba podzielić; lecz jednocześnie, niewinna, nieznaczająca napozór obraza czyni zeń zapalonego, ogniściego zapaśnika, uniesionego niepohamowanym gniewem, grożącego pięścią przeciwnikowi. Nie przeszkadza mu to wszakże po chwili przyjaźnie i wesoło rozmawiać z tym samym, któremu tylko co groził pięścią, oraz zaprosić go do wesołej kompanii. Ten rys charakteru każe nam wnosić, że żywy Irlandczyk z natury wcale nie jest mściwym, a jednak w zranionem sercu swoim nosi systematyczną, nieubłaganą nienawiść dla Anglików, naturalnych wrogów swoich, i gorącą,

namiętną chęć zemsty nad ciemieżcami, którzy z zimnem wyrachowaniem, barbarzyństwem i okrucieństwem zawładnęli Zieloną Wyspą, czyniąc tym sposobem z krajowców to, czem nam się przedstawiają obecnie.

Szczególnym, dziwnym nadzwyczaj objawem, jest ta okoliczność, że naród ten, jakkolwiek przyroda obdarzyła go żywą i namiętną naturą, jakkolwiek posiada gorącą, poetyczną fantazją, jakkolwiek z fanatycznym zamiłowaniem przywiązany jest do swojej ojczyzny; jest jednak całkiem nieczuły na piękno zewnętrzne, na wszystko, co go otacza. Leniwi i opieszały, nie dba o nic, ani o czystą odzież, ani o strawę pożywną, ani nawet o to, aby mieć schludne, zdrowe schronienie.

Przy braku szkół nieszczęśliwy ten naród pozostał dzikim i nieokrzyszczonym, chociaż, rzucony przypadkiem na obczyźnię, objawia pojętność, chęć wiedzy i wielkie zamiłowanie do nauki. Bujna, w wysokim stopniu rozwinięta wyobraźnia zrodziła w nim skłonność do zabobonów i przesądów, oraz wiarę w cuda i mistycznie przybrane legendy.

Próżniactwo i apatyczna niemal obojętność doszły u Irlandczyka do tego stopnia, że z rzadką, bezprzykładną zimną krwią traktuje on pierwsze, niezbędne potrzeby życia. Zadawałniam się byle czem. Gdy posiada mały zapas kartofli na zimę, glinianą, nędzną chałupę, w której żyje wraz z domowemi zwierzętami, i wiecznie swoje lachmany, pokrywające jego ciało—czuje się formalnie szczęśliwym; a wyrzeka i bluźni wówczas tylko, gdy nie ma tego wszystkiego.

U dzikich ludów, u tych które jeszcze pozostają w najgłębszej ciemności, w braku z kulturą braknie i podziału pracy, oraz zmysłu estetycznego; ale w kraju, stanowiącym część tak wielkiego, potężnego państwa, jak Anglia, która pędem lokomotywy dąży ku nowym prądom, w której praca ma tak doniosłe znaczenie, że niezaprzeczenie stawia Anglię na czele cywilizacji, tolerować podobną nędzę, taki zastój, pozwolić aby pijaństwo i demoralizacja rozwinęły się, aż do występku, a brudy i niechlujstwo, rozwieliły się—jest faktem niemożliwym, nieprawdopodobnym. Anglia, tak dbająca o zewnętrzne ozdoby, tak wysoko ceniąca komfort, przepych, w połączeniu z wytworną elegancją, tak wreszcie we wszystkim przywykająca do ładu symetrii i doskonałego porządku, jak może nieprzejąć się nieszczęśliwym, strasznym położeniem uboższego Ludu Irlandzkiego? Jak może wszelkich niełożyć usiłowań, aby go wciągnąć w koło do ogólnej pracy i działalności?

Dlaczego Anglia, chcąc pierwsze w Europie zająć miejsce, żadnego nie czyni kroku, aby wygnać z Irlandyi odwieczną nędzę i nie stara się rozbudzić w inteligentnym narodzie zapалу do pracy; dlaczego z lodowatą obojętnością i wiekowym uporem traktuje smutną kwestyę irlandzką? Jeżeli nikt nie zdźwignie Irlandczyka, nie wleje weń ducha samodzielności, i siły, on sam nigdy się nie otrząśnie z lenistwa, ciemnoty i przynębiającej apatyi.

Chociaż zamożni Irlandczycy chętnie i gorliwie wspierają nieszczęśliwych swoich współbraci; czynią to jednak dość opieszale, gdyż wiekowy, ciężki ucisk, poniżająca niewola, systematyczne prześladowania na nich nie miały wywarły wpływ, osłabiły i przytłumiły energią, a biedny Irlandczyk tak się przyzwyczaił, tak przystosował do otaczających go warunków życia, tak silnie zaszczerpił w sobie wszystkie wady i usterki, dzięki długiemu ćwiczeniu się w nich, iż niektórzy uczeni, zwiedzający ten kraj i badający naród, przypisują wszystkie klęski wrodzonemu lenistwu i próżniactwu.

Nie tak dobitnie nie charakteryzuje przyrody, obyczajów i sposobu życia Irlandczyków, jak północna i zachodnia część kraju. Burzliwy Ocean w wiecznym niepokoju i walce z naturą, nadał skalistym brzegom najdziwniejsze i najfantastyczniejsze formy. Zewnątrz kraju, podróżny spostrzeże zaraz na wstępie, nader malownicze skały i góry; lecz dzikie, niedostępne i po większej części całkiem pozbawione

roślinności. Poza mrocznymi wierzchołkami stromych gór, kryją się szerokie, falujące doliny, poprzerywane mnóstwem jezior, bagnisk i rozpadlin.

Posępna okolica ożywia się tylko nieco, gdy wrzosi kwitnąć zaczynają. Wówczas oczom widza przedstawia się cudny, choć dziki krajobraz: wszystkie szczyty i wierzchołki gór błyszczą podczas zachodu słońca ciemną purpurą ognistą, wieńcząc doliny i wybrzeża, niby złocistą koroną; poza górami, jak daleko sięgnąć można okiem, ciągną się ogromne, rozległe pola i pastwiska, zielonawa barwa, których, żywo i gorąco odbija od purpurowej wstęgi, zdobiącej wierzchołki gór, od lazuru modrego jeziora i od ponurej, posępnej wody Oceanu, mieniającej się barwami opalu. Sze mrzące, z bystrym szumem spadające ze skał potoki, wiele dodają uroku pysznej okolicy; coś niedocieczonego, tajemniczego powierzają sobie nawzajem te wiecznie szepczące strumyki i potoki, które wraz z ryczącym, niepokojącym się Oceanem, z jękiem wicherów i głuchym szumem jezior falujących—tworzą dziwne, czarodziejskie tony, cudnej, fantastycznej jakiejś melodyi.

Lecz uroczą okolica wcale nie jest ożywioną, ani przez nikogo podziwianą. Fantastyczne góry nie są uwieńczone ani lasem, ani krzewem; ba, ani nawet krzaczka małego nie zoczysz na nich. Dzika tarnina tylko, charakterystyczna roślina wzgórz irlandzkich, ozdabia i upiększa je podczas wiosny swoją żywą barwą ognisto-żółtą. Zatok i jeziora są całkiem puste i zupełnie pozbawione tego życia, jakie panuje w innych nadmorskich okolicach Anglii, Włoch, Francji i t. d.

Tylko kiedyniekiedy przesuwają się po gładkiej powierzchni wody biedna łódka rybacka, lub statek parowy, wożące nędzne prowizye do jakiegoś nadbrzeżnego miasteczka.

W miarę, jak podróżny zapuszcza się w głąb kraju, roztaczają się przed nim złe lub wcale nieuprawne pola, jałowe, skaliste grunta i długie pasy złotawego piasku. A jeśli pośród istniej tej pustyni widnieje urodzajniejszy kawał pola, łany kartofli, kępki drzew, zwiastujące domki wiejskie, lub fermę pobliską, albo wreszcie świeci zielona łąka, to w takim razie z pewnością poprzerywane bywają czarnem, brudnem bagniskiem, uroczykiem i rozległymi pokładami torfu.

Większa część gruntu irlandzkiego składa się z pokładów torfu, który nader ważną odgrywa rolę w życiu tego ludu. Gdy wieśniak nie ma czym płacić za nędzny towar, jaki pragnie nabyć, płaci zań torfem. Ogrzewa i oświeca chałupę pośród zimy; a im grunt więcej obfituje w ten drogocenny, i tak zarazem biedny dar Boży, tem wieśniak irlandzki drożej musi płacić za wydzierzawiony kawałek ziemi. Powietrze Irlandyi nawskroś przesiąkłe zapachem torfu; jedzenie nawet mniej więcej jest nim przejęte. Irlandczyk tak się przyzwyczaił do tego, iż dzyn i whisky najlepiej smakują mu wówczas, gdy czuć w nich lekko aromatyczną woń torfu.

Zaraz na wstępie do kraju uderza podróżnika martwa, głucha cisza, panująca dokoła, jakby się nagle znalazł na bezludnej pustyni. Nie usłyszysz tu ani wesołej; ożywionej rozmowy i śmiechu gawiedzi wiejskiej, ani loskotu młota kowalskiego; ani ryku domowego zwierzęcia, turkotu kół młynarskich. Ledwie że od czasu do czasu odzywa się powolne gęganie gęsi, lub rżenie bardzo nędznej chudej szkapiny. Zamiast pysznych stad bydła z dźwięczącymi dzwoneczkami, kręcą się tu i owdzie strasznie małe i niedorośle krowy lub kozy, z trudem i móżolem skubiące z ziemi nędzną trawę. Na wzgórzach i wzniesieniach niema ani wiosieczki, ani kępki drzew, któraby zwiastowała siedzibę ludzką.

Małańka, samotna lepianka, stojąca na uboczu i służąca ubogiemu ludowi irlandzkiemu za mieszkanie, raczej podobniejszą jest do nory zwierzęcej, niż do siedziby ludzkiej.

Wszędzie, tak w górach, jak i w dolinach, braknie tu najpiękniejszej ozdoby natury, a mianowicie: ptaków śpiewających. Rzadko kiedy ponurą ciszę przerwie krzyk czajki; jeszcze rzadziej, i to przelotnie tylko—śpiew skowronka, słowik zaś nie pojawi się nigdy.

W Irlandyi istnieją rozległe przestrzenie, na których ptactwo nie znalazłoby dla siebie ani jednego drzewa, ani jednej nawet gałązki na zbudowanie gniazdzka.

Zachodnie i północno-zachodnie burze niszczą i pustoszą drzewa jeszcze w młodości, które pozbawione gałęzi i korony, wegetują małe nieurodzliwe, potworne. Nawet wewnątrz kraju wszystkie wierzchołki drzew przechylają się ku stronie południowo-wschodniej lub czysto-wschodniej. Lecz nie same burze, sprawiają iż w kraju tym tak mało jest lasów.

W wiekach XIV i XV, a nawet i później jeszcze, Irlandya obfitowała w bogate i rozległe lasy; ale niszczone i wyrąbywano je bezlitośnie, najpierw, aby mieć więcej przestrzeni do uprawy; a następnie, aby pozbawić ludzi podejrzanych i przestępców, których tak wielu jest w Irlandyi—schronienia i przytulku.

(Dalszy ciąg nastąpi).

FILISTRY

Powieść oryginalnie napisana

przez

M. Gawalewicza.

(Dalszy ciąg).

Szli jakiś czas w milczeniu; ciemny strop nieba zdawał się ciążyć niżej, niż zwykle, nad ziemią, gdzieniegdzie tylko niedogaszona gwiazdka tliła się i migotała w cieniach pochmurnej nocy.

Romuald umyślnie wybrał drogę dłuższą i bardziej ustronną.

— Czy nie czujesz pan, jak się ochłodziło nagle? — spytała pani Zofia z lekkim dreszczem, który nią wstrząsnął tak, że ręka jej oparta na ramieniu Romualda zdrząła.

Nie odpowiedział ani słowa, widocznie zbierał myśli i gotował się do tak długo wyczekiwanej rozmowy z nią sam-na-sam.

— I panu musi być chłodno — zaczęła znowu po chwili, aby przerwać milczenie.

— Nic nie czuję, nic nie wiem — przemówił wreszcie szeptem, który wrzał jednak tłumionem wzruszeniem — czuję tylko panią przy moim boku i wiem, że siedzę tak do świtu, nie spojrzawszy poza siebie i nie wróciłbym nigdy więcej w tę stronę, jak galernik, który się wyrwał ze swego więzienia.

— Po co mi pan to mówisz? — spytała go spokojnie, z powagą i godnością — wejdziemy na temat, którego lepiej już nie poruszać.

— Przeciwnie, raz przecie powinniśmy otwarcie pomówić z sobą. Kochać i milczeć, tęsknić i milczeć, cierpieć i dalej milczeć — to nad siły ludzkie!.. ja mam dość tego, ja nie mogę dławić się dłużej, nie mogę gwałcić serca, myśli, oczu, słów moich, nie umiem tych dobrowolnych męczarni znosić dłużej, nie umiem — na Boga!.. jam tylko człowiek, który zacina usta, ale musi jęknąć, gdy mu ból zanadto dokuczy, a pani mi nawet poskarżyć się przed sobą nie pozwalasz, unikasz mnie, odtrącasz, boisz się mego głosu i mego widoku... Co ja mam począć z sobą!.. Pani wiesz, że cię kocham, i wiesz od kiedy, i wiesz jak, i rozumiesz w tej chwili, że dzisiaj czynię to wyznaniem ze wstydem i upokorzeniem za karę, iż go o tyle wcześniej nie uczyniłem wówczas, gdy miałem więcej praw do tego... Pani wiesz, że byłaś jedyną kobietą, przy której mogłem być zupełnie szczęśliwym, ale wyrzec się ciebie musiałem, a dzisiaj widzę, że jednego szczęścia drugim nie można zastąpić, jak się jeden zwiędły kwiat innym świeżym zastępuje. Mam wszystko przecież, czego pragnąłem, do czego dążyłem, unikałem majątkowej ruiny, zdobyłem stanowisko, na któ-

rem mogę być pożytecznym i co mi dzisiaj z tego!... kupiłem to tak drogo, że dla mnie samego nie zostało, że mi zaczyna ubywać energii, ochoty, wiary, nawet ambicyi...

— Panie Romualdzie!...

— Tak pani, tak — to smutna prawda, którą ci wyznaję, ale nie chcę udawać przed panią i przed sobą; wyczerpałem się tą ciągłą abnegacją, czuję to po sobie; są chwile, w których opada mnie taka niewysłowiona apatia, że gdybym świat cały w rękach trzymał — opuściłbym ręce bezwładnie. Nie powiedziałbym tego nikomu — pani mówię, bo pani jedna zrozumiesz to i odczujesz; ja się nie skarżę, ja się w ten sposób oskarżam przed panią. O nie przerywaj mi, zostaw rękę na moim ramieniu, pozwól mi mówić; z więźniem przez kratę rozmawiałabyś przecie, gdybyś mu ulżyć mogła wysłuchaniem jego spowiedzi...

Weszli w uliczkę, prowadzącą ku morzu, noc była tak ciemna, że się prawie widzieć nie mogli; nie zważali, dokąd idą, zwolnili kroku i szli przed siebie, instynktownie kierując się wśród ciemności.

Ona słuchała go w milczeniu, z zaciętymi ustami, ręką przyciskając serce, które się tłukło w jej piersi, jak jaskółka przed burzą.

Pozwoliła mu mówić, czuła, że mu to ulgę przynosi, chociaż nic nowego jej nie powiedział; wiedziała wszystko sama, co w jego duszy dzieć się mogło, patrzała na jego terazniejsze życie, znała sferę, w której się obracać musiał, kobiecym instynktem odczuła resztę. Ten przyciszony drżący szept jego wśród nocy, ta twarz nachylona ku niej, której dobrze widzieć nie mogła, ale którą czuła niekiedy tuż przy swojej skroni, to dotknięcie jego ramienia, które coraz goręcej przyciskało jej rękę, sprawiły na niej dziwne, nieokreślone wrażenie; kilka razy chciała przemocą wyrwać się od niego i uciekać, skryć się gdzieś w cieniach odludnego zaułka, aby tylko nie słyszeć jego głosu, nie czuć jego dotknięcia. Nie mogła płakać, choć dławiała się łzami i miała chwile, w których tchu jej w piersiach nie starczyło.

— A teraz, powiedz mi pani, co począć? — mówił, przystając, uczuwszy pod nogami wilgotny piasek wybrzeża. Morze tajemniczo, ponuro, groźnie jakoś szumiło przed nimi, jak olbrzymi potwór, który z cieniów nocy wypełzał pod ich stopy i zaczajony chciał się rzucić na nieopatrznych.

— Co począć? — powtórzyła smutnym, zgłuszoneym głosem — mnie pan nie pyta; ja panu nie potrafię dać żadnej odpowiedzi. Szczęście nam obojgu zepsuło się w życiu, ale naprawdę co niema sposobu. Cóż ja dziś mogę uczynić dla pana?... nic. Wysłuchać i odejść tak samo, jak już raz zeszedłem z pańskiej drogi, aby nie zawadzać. Innej rady niema...

— Znowu odejść! — zawołał, przyciskając bardziej jej rękę do swojej piersi.

— A cóż innego? — spytała go spokojnie, z rezygnacją; — jakąż inną ofiarę mogę dziś zrobić dla pańskiej miłości? Zastanów się pan... Cóż innego nam pozostaje, jak pożegnać się tym razem na zawsze, zejść sobie z oczu i z pamięci, oile to możliwe? Tak każe rozum i uczciwość.

— Zazdroszczę pani, że możesz rozmawiać — przerwał jej z goryczą.

— To obowiązek pański, panie Romualdzie, jako mężczyzny; ja go tylko pomagam spełniać panu — rzekła z naciskiem, jakgdyby się usprawiedliwiała przed nim. — Czy masz pan jaki inny środek naprawienia tego, co się zepsuło dla nas nazawsze?

— Mam — odpowiedział jej szybko i stanowczo.

— Jaki?

— Porzucę wszystko, wyrzeknę się wszystkiego, zwrócę majątek, zerwę moje związki i pójdę z panią, gdzie zechcesz, bylebym posiadał chwilę szczęścia straconego przy tobie!... zrobię to, gdy powiesz jedno słowo; będziemy szczęśliwi jeszcze, rozwód...

Nie pozwoliła mu dokończyć, wyrwała rękę z jego rąk i odsunęła się gwałtownym ruchem od niego, jakby ją słowa jego obsypały skrami.

— Dziś?... nigdy!... to nie podobna, to za późno! — zawołała, broniąc się całą siłą ostatnim pokuszeniem. Stała jej w jednej chwili na oczach Ludwika, przypomniała sobie ranną rozmowę dzisiejszą, jej zwierzenia, jej tajemnicę. Przestraszyła się niemal tej stanowczości jego, cofnęła się, jak od przepaści, która ją pociągnąć chciała.

— Nie, nigdy! — powtórzyła i odwracając się do Romualda, zaczęła przyspieszonym krokiem iść bez zastanowienia ku morzu, które zdawało się mruścić coraz groźniej i otwierać swą olbrzymią paszczę w ciemności; nie widziała, nie czuła, że idzie po niechybną zgubę, nieprzytomna oszołomiona, wzburzona do głębi.

Na szczęście, Romuald spostrzegł niebezpieczeństwo, pospieszył za nią i chwytając ją za ramię, powstrzymał w miejscu.

— Pani Zofio, dokąd pani idziesz!... tam morze! — zawołał z przerażeniem, które go oprzytomniło w jednej chwili.

Stała, jak wryta, i ujrzała dopiero teraz, co jej groziło.

Chwilę zbierała zmysły; potem, rozglądając się dokoła i dostrzegłszy w dali światła, odbite z brzegu w falach morza, poszła w przeciwną stronę.

— Wracajmy, wracajmy! — nagliła — gdzieśmy zaszli! aż tutaj... to musi być już późno?... Na pana czekają przecie w domu!... chodźmy.

Nie podała mu więcej ręki, ale szła sama, coraz spieszniej, jakby ją goniły jakieś duchy z morskich głębin wywołane i ścigające swą ofiarę, która się im tylko przypadkiem wymknęła.

Romuald zdążył za nią, usiłując ją naprzód skłonić do powolniejszego kroku; nie mógł zrozumieć: dlaczego ją tak jego ostatnie słowa zmieszaly, z kąd ta gwałtowna zmiana i ta stanowcza rozpaczliwa jakaś odmowa na propozycję, którą jej uczynił. Jeżeli go kochała, dlaczego odrzuciła ten jedyny godziwy sposób wyjścia z sytuacji, dla obojga przygnębiającej?... dla czego nie chce należeć do niego?... tyle małżeństw rozwiodło się dla nowych związków!... Nie rozumiał i nie przeczuwał powodów, które jej nie pozwalały przyjąć jego ofiary.

Zdyszana, znużona, wyczerpana tym powrotem, zatrzymała się dopiero na terrasie swej willi; drżącymi rękoma musiała oprzeć się o kamienną balustradę, a gdy wstępowała na schodki, prowadzące do mieszkania, nogi się pod nią chwiałały i załamywały w kolanach.

Ptak spłoszony spada tak na gniazdo.

Romuald dopiero teraz zbliżył się do niej, ujął jej dłonie zimne, jak lód, i przycisnąwszy do swoich gorących ust zaczął je ogrzewać gorącymi pocałunkami. Pierś podnosiła mu się szybko i opadała, oddech jego palił ją, nie mogła słowa przemówić, próbowała odsunąć go od siebie, ale sił jej brakowało; w pocałunkach jego był jakiś czar, który ją obezwładniał.

Oparta o ballustradę, z głową przechyloną w tył, stała nieruchoma, drżąca, z oczyma przykniętymi, z piersią gwałtownie falującą i pozwoliła mu całować i przyciskać zimne jej dłonie do ust, do twarzy rozpalonej, do oczu gorejących, jak węgle... Chłodne dotknięcie jej rąk sprawiało mu rozkosz, jak kropla wody w skwarnej dzień. na spiekłych wargach wędrowca.

— O jak pan nie masz litości nademną! — jęknęła z bólu i załkała cicho, żałośnie, z wyrzutem bezbronnej ofiary.

— Wejdz pani do siebie, wejdz — prosił nie puszczając jej rąk, szeptem, który ją drżeniem nawskroś przejmował, w tejsamej chwili wszelako uczuła ból, który ją oprzytomnił. Obrączka jego ślubna wpisała się w jej palce przy namyślnym uścisku jego ręki; pod tem wrażeniem zbudziły się w niej nagle dawne siły, odzyskała znowu panowanie nad sobą, odepchnęła go z mocą od siebie i wrywając mu obie swe ręce, zawołała:

— Puść mnie pan!

Śpiesznie uciekła na terras i znikła w ciemnościach, zalegających werendę; usłyszał tylko szelest jej sukni, i wśród nocnej ciszy oddalające się

kroki po kamiennych fizach, a potem skrzypnięcie drzwi, zatrzaśniętych w pośpiechu drżącą ręką.

Zdawało mu się, że noc stała się ciemniejszą, powiew wiatru od północy chłodniejszym, cisza dokoła jeszcze głuchszą. Pozostał sam ze swymi myślami; z wnętrza willi odezwał się srebrny dźwięk zegaru ściennego i przypomniał mu, że już północ i że oddawna powinien był wrócić do domu.

Zdjął kapelusze, głowa mu pałała; czekał jeszcze chwilę, sądząc, że w oknach Zofii ukaże się chociaż światło i cień jej na zapuszczonych storach. Daremnie; nie mógł widzieć, iż z za firanki w salonie z przyciśniętem czołem do chłodnej szyby, pani Zofia patrzała na niego, oile ciemność dozwalała dojrzeć cośkolwiek, i wstrzymując dech w piersiach, czekała, dopóki się kusiciel jej nie oddali.

Powracając do domu krokiem wolnym ociążałym, z głową pochyloną, Romuald szedł, jak pijany; wilgotny chłód nocy trzeźwił go i cucił, z tego stanu, w jakim się rozstał z Zofią. Umyślnie teraz opóźniał swój powrót, spodziewał się zastać gości u siebie, których żona jego z koncertu zabrała na herbatę, wyobrażał sobie ciekawe, badawcze spojrzenia pani de Chivaux i jej córki, dwóch paryzkich czeczotek, zaznajomionych z Ludwiką od tygodnia, a zaprzyjaźnionych, jakgdyby siedm lat zażyłego stosunku je łączyło; wyobrażał sobie indagację teściów, podejrzliwe pytania żony, w której zbyt długa nieobecność jego mogła nareszcie obudzić zazdrość dotąd uśpioną, szedł i rozmyślał, co pocnie, jak się zachowa, jak wytłómaczy?... Byłby dał wiele, aby nie potrzebował wracać teraz do swego domu.

Niedawno jeszcze był zrezygnowany na zupełne zerwanie małżeńskich związków, a teraz gdy szła przeminąć i chłodniejsza rozważa nadeszła, samo przypuszczenie sceny małżeńskiej sprawiało mu jakąś nadspodziewaną przykrość.

W oknach jego apartamentu na pierwszym piętrze było ciemno; tylko w gabinecie żony świeciła się lampa. Co to mogło znaczyć?... wiedział przecie, że zastanie gości. Czyżby już tak późno było?... spojrzął na zegarek, północ dochodziła. Ogarnął go jakiś nieznanany dotąd niepokój; przyspieszył kroku i wszedł z bijącym sercem na schody; przecucie mu mówiło, że czeka go coś niezwykłego. Jak winowajca, zrezygnowany na wszystko, wszedł do siebie, nie śmiać zapytać służącego: co znaczyła ta cisza i ciemność w salonie.

— Pani jest? — spytał krótko lokaja.

— Jest w budoarze.

— A starsi państwo?

— Udali się już na spoczynek.

— Był tu kto?...

— Nikogo nie było, oprócz starszych państwa.

Przegarnął włosy; dreszcz wstrząsnął nim, — dopiero teraz w cieplejszej atmosferze uczuł, że przeziął na chłodnym i wilgotnym powietrzu.

Na palcach szedł po dywanami wysłanej posadzce jednego i drugiego salonu, aż do budoaru Ludwika; zastał ją w szlafroku pluszowym, ubieranym koronkami, siedzącą najspokojniej przy stoliku z książką w rękę. Czytała „Nababa“ i znużona widocznie całodziennymi wrażeniami, usnęła z główką opartą o poręcz fotelu, nozdrza jej zlekka drżały przy każdym oddechu, twarz miała pogodną, zadowoloną, drobne usteczka uśmiechały się rozkosznie, ani jedna zmarszczka nie fałdowała gładkiego czoła.

Romuald prawie z zadowoleniem spojrzął dokoła; przewidywania jego nie spełniły się, spodziewana burza przestała grozić zupełnie.

Usiadł cichutko naprzeciw żony w drugim fotelu i czekał...

Pomimo zgnębienia, które swoje ślady zostawiło w jego duszy, odetchnął jakoś lżej, niemal z uczuciem jakiejś błogości; wonna, ciepła, cicha atmosfera budoaru wydała mu się balsamem na jego rozstrojone zmysły.

Ludwika obudziła się nagle z westchnieniem i przeciągając się leniwie, podniosła w górę bia-

le toczone ręczki, z których szerokie rękawy opadły i odsłoniły różowe, pulchne jej łokcie.

Otworzyła oczy i z wyrazem przyjemnego zdziwienia spostrzegła męża, siedzącego naprzeciw.

— Ty jesteś? — zawołała, uśmiechając się do niego rozkosznie — niedobry, dlaczego mi spać pozwoiliłeś?... wstydę się teraz, że taki leniuch.

Wyciągnęła ręce ku niemu.

— Czemu tak długo siedziałeś u Odonieckiej?... co?... ty bałamucie szkaradny!... Chciałeś uniknąć towarzystwa pani de Chivaux, która cię irytuje swojemi anegdotkami paryzkimi, — prawda?... a tymczasem jej wcale nie było u nas. Wyobraź sobie, dzisiaj wieczorem pan de Chivaux przyjechał z Genui i te panie musiały z drogi wrócić do hotelu. Która godzina?... czy bardzo późno?...

Podniosła się z fotelu, ziewając, podszła do męża, zarzuciła mu ramiona na szyję i tuląc się do niego, jak dziecko rozpieszczone, mówiła:

— Tak mi się spać chce, Romu!...

Nie śmiał jej odsunąć od siebie, ale na jej przymilanie się nie odpowiedział ani jednym czulszym uściskiem. Odeszła od niego i poszła do swojej gotowni rozbiierać się.

— O czemeście rozmawiali tak długo? — zaczęła po chwili — to bardzo inteligentna kobieta ta Odoniecka, prawda?...

Wyjęła szpilki ze swoich płowych włosów i zaczęła je rozplatać.

— Wiesz, co mnie dziwi, że nie wychodzi za mąż; młoda jeszcze, ładna, powabna wdówka — mogłaby zrobić partya; podobno nie ma majątku, twój ojciec nam to kiedyś opowiadał, ale zanim Dziunia dojdzie do pełnoletności... Mój drogi zapłatały mi się włosy o guzik — przerwała sobie nagle zmienionym tonem — zadzwoni na Weronikę, albo nie... pomóż mi je sam odsupłać.

Podszedł do niej i próbował to uczynić, ale mu nie szło łatwo. Śmiała się z niego i mówiła:

— Nie musiałeś często usługiwać kobietom... nie umiesz się obchodzić z guzikami; spróbuj rozpiąć tu koło szyi, o tak... Ja cię jeszcze wywieruję na moję garderobianą czasasem.

Z pod koronek szlafrocza wyrzwał biały, okrągły karczek, porosły kędziorami delikatnych, jak pęta, włosów.

— Dziękuję ci; jednak trzeba będzie zadzwonić na Weronikę, bo któż mi zdejmie buciki?... żebyś wiedział, jak mi się nie chce schylać dzisiaj!

Nie mówiąc słowa, przyklął obok żony i delikatnie ujął sam jej drobny, zgrabny nóżkę w swe dłonie.

— Ty?... ty chcesz to zrobić? — pytała z zdziwieniem, niedowierzająco — cóż za uprzejmość!

Objęła go jedną ręką za szyję, drugą uniosła nieco przód pluszowego szlafroka.

— Czyś ty zdejmował komu buciki w życiu? — pytała ze śmiechem.

— Tobie pierwszej.

— No, to i ostatniej chyba — rzekła — chociaż o was nie można być nigdy zupełnie pewną. Nasłuchałam ja się o tem od Henryetty!... wiesz ty, że baron ją zdradzał, ale ona wiedziała o każdej jego awanturce i śmiała się z niego w żywe oczy, a to go najbardziej irytowało. Ona ma dotychczas w biurku fotografie wszystkich baletniczek, które mu się podobały. Czy to nie lepsze od scen, awantur i skandalu?... Mojem zdaniem i papy, bardzo dobrze zrobiła; po co ma sobie życie zatruwać!...

Znać po nim było, że nie słucha jej opowiadania z tajemnic rodzinnej kroniki, które ją bawiły i rozweselały; zajmowały go w tej chwili więcej te dwie malutkie nóżki w jedwabnych pończoszkach ażurowych na ciemnym dywanie, którym się przypatrywał z taką jakąś uwagą, jak gdyby ich dotąd u żony wcale nie spostrzegwał.

— Rozebrałeś mnie, jak dziecko — rzekła w końcu do niego, obejmując go znowu swojemi okrągłymi ramionami — teraz mnie zanieś jeszcze do poduszki!... tak późno już, cały dom śpi oddawna!.

Musiał być jej posłusznym, jak niewolnik wszystkim zachceniom swej pani.

VI. Ostatnie nitki.

Niespodziewanym gościem w Nizzy był pan Sylweryusz; przyjechał niby-to z polecenia rady zarządzającej porozumieć się z Fiszbauem w sprawie dalszej eksploatacji kopalni krymskich, rozpoczętej z wielkim powodzeniem do spółki z hr. Potorskim i załatwić z bankierem kilka ważniejszych interesów, wymagających natychmiastowej decyzji.

W gruncie rzeczy chciało mu się przewietrzyć trochę zagranicą i zobaczyć tę Nizzę, w której niegdyś tyle przyjemnych wspomnień pozostawił. Podróż z dyetami na cudzym koszczie była dla starego Lackiego gratką bardzo pożądaną; naturę pracowitego próżniaka podrażniła ambicyja tytułu, jaki mu sinekura jego dawała. Zdawało mu się naprawdę, że coś robi, coś znaczy, służy jakimś interesom, na których się rozumie, że posiada faktyczną godność „pana radcy“ i niemal poświęca się na stare lata, zajmując tę intratną posadę, zamiast wypoczywać w wygodach i zbytkach należnych z przywileju ludzi jego rodzaju.

Powitanie marszałka z synem i synową było bardzo czułe.

— Ślicznie mi wyglądacie!... — mówił z zachwytem — wiesz Romualdzie, że ty przytyłeś trochę; to dziwne, ja nie miałem nigdy skłonności do tuszy a nachylając się do ucha Fiszbauma, szepnął mu ze śmiechem pofrancuzku jakieś przysłowie.

— To widać, to widać! — przywodził bankier, szczerząc swoje rzadkie i żółte zęby w uśmiechu.

— Jakbym ja tu z wami dłużej został! — wzdychał z udaną rezygnacją — ale trzeba wracać pojutrze. Interessa czekają, zostawiłem tam wszystko na cudzej głowie.

Powtarzał to codziennie, ale siedział; dobrze mu było, jak w raju. Odżywał wspomnieniami młodości.

— Żebyście wiedzieli, co tu za kobiety bywały za moich czasów! — mówił, zmrużając oczy, jakby go dziś jeszcze émił blask tych piękności. — A jak się tu kochano, bawiono, romansowano!... jakieśmy tu partyjki miewali!... Prezes masz tu jaki kwartecik? — spytał, zwracając się do Fiszbauma — musimy sobie zagrać dziś wieczorem w klubie francuzkim, tylko nie drogo, bo się czasami zmieniły. *Tout passe — hélas!*

Odonecka, której go po raz pierwszy przedstawiono po kilku dniach pobytu, bo chorowała właśnie w czasie jego przyjazdu — bardzo mu się podobała.

— *Une belle femme!* — mówił do syna na boku — byłbyś miał ładną żonę, gdybym wam nie był przeszkodził zrobić głupstwo i pobrać się, jak dwójku turekimi świętym... Widzisz, teraz masz i ładną żonkę i możesz mieć — interesującą znajomość! — dodał ze znaczącym uśmiechem, który obruszył Romualda.

— Ojciec!...

— No, czegoż się zżymasz?... cóż w tem zlego! byle tylko pocichu, bez skandalu, bez kompromittacyi; zabawić się zawsze można. Zresztą po Warszawie już i tak mówią, że tu do ładnej wdówki smalsz cholewki. *On revient toujours...* mój drogi. Bronilem cię dla przyzwoitości na wieczorze u baronowstw... Pani Krull miała nawet zamiar pisać do twojej żony z zapytaniem: co w tem jest prawdy, ale ją odwiódłem od tego zamiaru, przyrzekając, że sam jej zdam relacją. Po co zwracać uwagę — prawda?...

Wszystka krew uderzyła Romualdowi do głowy na tę wiadomość, której mu ojciec udzielał tonem żartobliwym, wesołym, jak gdyby nie przykładał do niej żadnej wagi.

— Twoi przyjaciele kochani — mówił dalej stary Lacki z przekąsem — zaczynają szemrać teraz na ciebie. Gniewają się, żeś ich zostawił na lodzie; ten wasz nowy dziennik podobno nie będzie wcale wychodził w tym roku. Coś mi tam mówiono przed wyjazdem, aleś dobrze nie słuchał. Dziękuj Bogu, że się to zerwało!...

Romuald oczy spuścił ze wstydem; przypomniał

sobie, że dotąd nie odpisał Sluckiemu i na trzy listy Rotowicza nie dał żadnej odpowiedzi. Leżały u niego na biurku, ale z dnia na dzień odkładał odpowiedź, nie miał teraz głowy do spokojnego myślenia; coś go dziwnie rozleniwiło do wszystkiego.

(Dalszy ciąg nastąpi).

KSIĄŻKI

dla młodzieży i dzieci.

Tegoroczne wydawnictwo kolendowe przyniosło nam książkę wyjątkowej wartości. Pisana dla młodzieży, może być czytana z zajęciem — z zajęciem prawdziwym, przez osoby dorosłe i, daj Boże, aby czytana była w każdym dworze wiejskim, tam wszędzie, gdzie kobieta dobrej woli i moment swego czasu rozumiejąca, chce pracować i obywatelskie swe obowiązki wypełniać. Wyborną tę książkę napisała Marya Julia Zaleska, pod tytułem: „Dwie Siostry — opowiadanie z życia młodych dziewcząt“. — Jest tu przecież obok dwóch siostr, młodych panien, i panna stara, rozumna, praktyczna, odważnie zapewniająca sobie niezawisłość przez pracę; jest również i matka rodziny tak uczciwa i dobra, jakby się pragnęło widzieć wszystkie matrony nasze — jest więc cały szereg postaci niewieści, które razem przedstawiają kobiecość wysoce szlachetną i idealną, dowodzącą przecież tej idealności swojej przez pracę na realnym gruncie życia.

Z dwóch młodych dziewcząt, które na pierwszym planie stoja, jedna jest bogata, druga o tyle tylko zamożna, że w domu rodzicielskim, pod opieką matki szczęśliwą i dobrze kierowaną młodość przeżyć może. Jeżeli przecież za życia rodziców za mąż nie wyjdzie, trzeba jej będzie z małym kapitalikiem w świat między ludzi iść, i tak się tam obracać, aby nikomu ciężarem nie będąc, i osobistą swą godność utrzymać, i pożyteczne, oile można szczęśliwe istnienie w pracy i przez pracę sobie zapewnić.

Historji losu tych dwóch siostr zdradzać nie chcę, aby przez to nie ujął coś pożyteczności książki, dla której pragnę jaknajwyżej czytelników. Choć motyw jest bardzo prosty, wyższy talent autorki sprawia, że książka od początku do końca zajmuje jako dzieło literackie, wyższych zalet. Wplata się w jego treść i dramat — dramat miłosny, z tragicznością graniczący; że przecież jest to utrzymane w tonie spokojnym i szlachetnym, że rozgrywane się losy uczuć nie namiętności, nie tu na młodą wyobraźnię złym wpływem nie uderzy, nie zamąci jej nie dobrane i opowiadanie to z życia dwóch młodych dziewcząt oby się jak największej liczbie takich dziewcząt do rąk dostało.

Młodość dusz szlachetniejszych ma naturalne pragnienie, jakiejś działalności szerszej, poza swoje osobiste interesa występującej — ma pragnienie zajęcia, w którym się mieści idealne piękno ofiary, niesionej dla rodziny, dla ludzi, ojczyzny, idei. Dać jej pragnienia tego zadowolenie, jest to ubogacić życie całe w górnieszy połot myśli, w wyższy cel dążeń i ducha z ciasnego egoizmu wyprowadzić, a zarazem obronić go od zatonięcia w drobnych o własne istnienia zabiegów. Autorka z wielką znajomością serca ludzkiego przedmiot ten poruszyła. Jedna z siostr, w domu nie chowana, której nie rozbudzono w piersi zapalu dla żadnej sprawy wyższej, której nie dano zakosztować szlachetnych rozkoszy serdecznych i umysłowych, przez apatya ducha i próżnią w swej istocie moralnej była blizką osunięcia się w nicosć życia bez celu, w której wegetuje tysiące tak wychowanych kobiet, zapelnających sobie nędzę podobnego istnienia lichemi drobiazgami i lichszem jeszcze używaniem, które w rzeczywistości nic istocie ludzkiej nie daje i jest jak te owoce Martwego Morza, pozorem ludzące, a wewnątrz zawierające tylko

popiół. Ale, na szczęście, iskra, rozniecona w duży padła dość wcześnie, aby zapalił się tam ogień, który lepiej świeci i grzeje.

Ten szczegół powieści, że nawet przy dobrem sercu—przy sercu, które kochać może i chce, tak się dzieje, jest rozumny i pedagogicznie mądry. Nie wszystkie te istoty biedne, które w gałgan-ganku i zabawie, w błyszczącym pozorze cel życia mieszczą, są złe. To prawo fizyczne, że natura próżni nie znosi, jest prawem i w świecie ducha. Trzeba sobie życie czemś zapełnić: jakimś pożądanym, jakimś o coś zabiegiem—trzeba mu dać cel jakiś, bo inaczej ogarnia nas takie ciężkie uczucie czczości, zwane nudą; w umyśle i sercu wytwarza się taka bolesna pustka, że instynkt zachowawczy pcha gwałtem do wyszukania sobie czegoś, co wyprowadza z dławiającego, życie morzącego stanu. Ile win, ile błędów, ile nędz ludzkich z tego powstaje, któż zliczy? Ale to już jako twierdzenie postawić można, że wychowanie zdolne było zapobiedz temu, szczepiając w umysł i serce gusta i pragnienia podnioslejsze — wyciąkając z życia drogę, niewiodącą tym padolem, z kąd do Nieba wysoko, a do dobrych celów ziemskich daleko... daleko!

Może najsympatyczniejszą w powieści osobą jest Ciocia Terenia, ta stara panna, która samotnie własny swój domek buduje, ale stawia go tuż, tuż, koło ogniska rodzinnego, aby ją grzało rozchodzące się ztamtąd ciepło. W powieści jest tendencja, czego ja, zwłaszcza w książce dla młodzieży, bynajmniej za wadę litteracką nie uważam. Tendencja jest to założenie moralne i jeżeli przeprowadzenie go książce ze względów estetycznych nie szkodzi, podnosi ją tylko, a nie zniża, tak jak tu jest właśnie. Tendencją autorki jest wykazanie, że kobieta samodzielnie pracująca może mimo to nie wydzielać się z rodziny, a wtedy zabezpieczy sobie wszystkie te rozkosze serdeczne, które ze związków rodzinnych płyną, i pracująca na samotności serca, na brak ciepła uczuć cierpieć już wtedy nie będzie. Drugą tendencją powieści, a bardzo, bardzo ważną jest wskazówka, że za pracą nie koniecznie do miasta iść trzeba.—Jest dla tej pracy na wsi dość pola i jak rozległego! Czytelnicy naszego pisma wiedzą, że należy to do ekonomicznych przekonań moich, wygłaszanych dawno i stale, może aż do znudzenia czytelników, ale jeszcze za czasów Woltera było już rzeczą wiadomą, że z tego, co nam o uszy uparcie się obija, zawsze coś do umysłu się dostaje. Są pewne rzemiosła pracy kobiecej, po których naukę do miasta udawać się trzeba; ale nie koniecznie tam osiadać i z konkurencją coraz większą walczyć, od swoich naturalnych stosunków się odbijając—zrywając ze wszystkimi dawnymi nawykami, ulubieniami, z gruntem swym starym. Co w tem trudności, przykrości, co cierpienie nawet i ciężkich i bolesnych, a jak rzadko w okolicznościach obecnych otrzymaną być może kompensata choć jakotako odpowiednią! Że tak jest, wiem nie z przypuszczenia tylko, widziałam nacepienie smutne dzieje tak rozgrywających się dramatów, gdzie praca ciężka, aż do gorącego znoju na czole, dawała biednej pracownicy ledwo lichy kawałek chleba — gorszy niż ten, który wieś byłaby jej zapewniła przy połowie trudów, zabiegów i wydatku sił.

Dlaczego tak jest, dlaczego zwłaszcza przy doświadczeniu, które już można obecnie mieć, powtarza się to dotąd? Czy to przypadkiem nie skutek lenistwa myśli i braku inicjatywy? Są gałęzie przemysłu, które tylko w wielkim mieście istnieć i rozwijać się mogą, ale jest i przemysł wiejski, przemysł domowy, dla którego jedynie zbyt trzeba sobie w części pewnej w mieście zabezpieczyć. Ciocia Terenia zdobyła się na ten pomysł: przerób nabiąłu uczyniła rzemiosłem swoim, od wielkich państwa dzierżawi pacht krów, mały domek zwykłego arendarza wyporządza sobie i upieknie go, co jej jeszcze przychodzi taniej, niż jednoroczny koszt najmowanego w mieście mieszkania, a gdy dodaje do tego tę najwładniejszą na świecie ozdobę zieleni, drzewek, kwiatów—trochę cieniu i woni, staje się tu miło wygodnie, dobrze wśród pracowitego, cichego,

spokojnego życia, które jej nie wyгнаło przecie z miejsc rodzinnych, nie oderwało od nawyknień i stosunków drogich, zostawiło wśród swoich!

Takich zajęć przemysłowych: sklepów wiejskich, wiejskich szwalni, przerobów wiejskiej produkcji—jest dużo jeszcze, ale to wychodzi poza zakres naszego przedmiotu — książki, która wartą jest, aby się nad nią osobno zastanowić, bo autorka nie napisała w niej nic, co by pióro przypadkowo na papier rzuciło. To, np. że, ciocia Terenia ma zupełnie osobną siedzibę, że się przy siostrze bardzo kochanej nie mieści, jest rzeczą rozumnie pomyślaną: wiek dojrzały ma pragnienie tej swobody osobistej, tej osobistej niezależności, którą otrzymać trudno, mieszcząc się przy kimś, choćby najmilszym nam. Jedno drugiemu zawadzać czasem może, i Ciocia Terenia czyni też tak, jak kobiety samotne, które zostały przez małżeństwo usamowolnione, jak naprzykład wdowy. Choć jest panną, zakłada własne ognisko domowe, bo przez wiek, a głównie przez samodzielną pracę na chleb, tego się znaczenia już dorabiała, że może stać wśród społeczeństwa jako osobistość oddzielnie drogą życia idąca, i która tylko sercem z ukochanymi swymi się łączy. Wszystkim jest tak dobrze, bo nie zostało rozerwanem nic, co rozerwania bezkarnie nie znosi, a osiągnięciem wszystko, co jest dobra i szczęścia ludzkiego podstawą.

— Ciężkie czasy!... złe, okrutne czasy!... wołała ludzie wokół. I ja, i autorka *Dwóch Sióstr* zapewne im nie zaprzeczy, bo i w książkę swoją wprowadziła ona atmosferę, która daje znaczenie o tych czasach ciężkich, trudnych dla tych, co w nich żyją. Więc też stawia na początku książki godło, w którym jest i słowo nadziei i słowo wskazówki, jak pod brzemieniem tych gniojących czasów barki podstawić trzeba:

Ja wiem, że tutaj z litości Pana

Na każdą troskę pociecha dana:

Spokojna godność, wytrwałość z pracą,

Ubóstwo znoszą, lub też bogactwa.

(*Żmichowska.*)

Wydanie książki dobre i staranne: druk wyraźny, papier dobry, dobra też korekta. Cieszyć to może, że edycja nie jest zbyt kłopotliwa, bo w takim razie rozeszło-by się zapewne mniej egzemplarzy, niż sobie tego życzyć trzeba. Kto ją nabędzie, niech pożyczycy do czytania sąsiadom, którzy jej nie mają. Matce rodziny przeczytanie jej przyniesie niemniejszy pożytek, niż jej córce, a może nawet większy, szerszy w znaczeniu stosowania go: znajdzie tam ona prócz ważnych wskazówek wręcz dla siebie, wzór takiego wychowywania córki, który dobrze jest czasem znaleźć postawiony nam przed oczyma. Życie codzienne z jego drobnymi zajęciami, troskami — z jego małostkami próżności, miłości własnej, które każdy mniej więcej ma—zatraca w nas zdolność wytwarzania sobie dla ludzi i rzeczy tej perspektywy, w której dopiero całokształt przedmiotu stawia nam przed oczyma takim, jakim jest istotnie w życiu, wśród jego przestrzeni szerszej. Są parafialne, obrębem okolicy zamknięte ambicje, wielkości, lub wielkości wyobrażenia, wśród których angielskie: „shoking“ nie można nie wypadać! jakby to wyglądało? co by na to powiedziano? gra swoją rolę i wzrok nasz, jak zieloną umbrellką od zbytku światła przysłania. Otóż bywają często wypadki, że książka ową umbrellką usuwa i przedmioty pod innym kątem widzenia nam przedstawia. Każdy to wie, kto zna ludzi z ich koniecznymi słabościami, i dlatego, że *opowiadanie z życia młodych dziewcząt*, może to zdziałać przez swój szlachetny punkt zapatrywania się na rzeczy i stosunki, dlatego tak mu życzymy największego rozpowszechnienia.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Z DZIAŁU PRZYRODY.

Kronika najnowszych wynalazków i odkryć naukowych.

Saccharina. — Machina do nasycania powietrza ozonem. — Kąpiele elektryczne. — Elektryczność atmosferyczna. — Lapolinum. Masło roślinne. — Nowy bacillus (raka). — Wieża na Polu Marsowym w Paryżu.

Dr. Fahlberg z New-Yorku przed niedawnym czasem wynalazł sposób dobywania ze smoły węgla ziemnego preparatu, który zastępuje cukier trzcinowy.

Ciało to przedstawia się jako biały proszek, a siła jego osładzania jest tak wielka, że jedna część nadaje 10,000 częściom wody bardzo znaczący smak słodki.

Wynalazca nazwał je *Sacchariną*, chemicy zaś nazwali sacchariną azhydrytem - orthosulfaminobenzoesowym, a wzór jego przedstawia się w ten sposób $C_9 H_5 \left\{ \begin{array}{l} Co \\ So_2 \end{array} \right\} N H$

Ażby ciało to uczynić zdatnem do użytku ogólnego nie wystarczają jedynie jego własności osładzania płynów; wypadło je uczynić i z wyglądu podobnem do cukru trzcinowego, w tym celu Dr. Fahlberg pomieszcza w cukrze gronowym (glucosa) małą ilość sacchariny i tym sposobem otrzymuje mieszaninę zupełnie podobną do cukru, którą nazwał *dextro-sacchariną*. Stosunek sacchariny do glukozy, jest 1 na 1,000 lub 2,000. Dotąd z węgla ziemnego udało się tylko wydobyć niektóre farby, obecnie chemia znalazła w nim cukier, łatwo sobie wyobrazić, jaki przewrót w rolnictwie i przemyśle pociągnie za sobą to odkrycie.

Tymczasem Saccharina znalazła zastosowanie w medycynie. Wiadomo, że osobom cierpiącym na moczówkę cukrową (Diabetes mellitus) wzbudzeniem jest spożywanie w najmniejszych nawet ilościach cukru trzcinowego, skutkiem czego zmuszone są pić gorzką kawę i herbatę, otóż z 3 gramów sacchariny, 2 gramów węglanu sodu i 50 mannitu przygotowują dziś w aptekach 100 pastylek, z których jeden wystarcza do osłodzenia filiżanki herbaty, kawy lub kakao.

* * *

Wiadomo, że w atmosferze, prócz tlenu, znajduje się pewna jego odmiana nazwana *ozonem*. Ozon powstaje, jeżeli przepuszczają iskry elektryczne przez tlen, a zatem w czasie burzy, przy elektrolitycznym rozkładzie wody, przy powoli odbywających się sprawach utlenienia (np. pozostawianie fosforu w wilgotnym powietrzu), przy szybkim parowaniu wielkich mas wody (nad mrazem, pod tężniami). Tworzenie się ozonu zdradza pewien rodzaj szczególnego zapachu. Prócz innych własności posiada on w wysokim stopniu własność dezynfekcyjną. W roku zeszłym udało się p. Hall zbudować maszynę wyrabiającą sztucznie ozon; przeznaczeniem jej jest oczyszczanie powietrza w salach szpitalnych i odświeżanie (wentylowanie) powietrze w małych przestrzeniach, gdzie się naraz zbiera wiele osób, jak w teatrach, aulach, giełdach, sądach i t. p.

Machina taka składa się z maszyny elektrycznej Holtz'a opatrzonej w przewód, którym przepływa powietrze i w wentylator do odpływu takowego. W pośrodku przewodu pomieszczone są przyrządy podobne kształtem do grzebieni, pomiędzy którymi właśnie następuje wyładowanie elektryczności, a urządzenie ich jest tego rodzaju, że przepływające między niemi powietrze zostaje szybko nasycone ozonem. Ozon dla zdrowia jest wielce potrzebnym i ztąd można twierdzić, że wynalazek ten w hygienie odegra bardzo ważną rolę.

* * *

Kiedy mowa o wpływie elektryczności na zdrowie, niepodobna choć w kilku słowach nie wspomnieć o tak nazwanem hydro - elektrycznem leczeniu, czyli o kąpielach elektrycznych. Pierwsze zastosowanie kąpeli elektrycznych datuje już od 1855 roku, ściśle jednakże badania pod tym względem przeprowadzone zostały dopiero w ostatnich kilku latach. Mamy kilka odmian kąpeli elektrycznych, przede wszystkim, co do jakości prądu; kąpiel może być galwaniczna, faradyczna i galvano-faradyczna, ze względu zaś na stosunek prądu do ciała, jaki ma je przenikać, rozróżniamy kąpiele jedno i dwubiegunowe (monopolarne i dipolarne), a w końcu kąpiel elektryczna może być częściową, stosowaną np. na pewną kończynę, lub ogólną na całe ciało, te ostatnie są prawie wyłącznie w użyciu.

Nie tu miejsce opisywać wskazania i rezultaty terapeutyczne kąpeli elektrycznych; nie omieszkamy uczynić tego mówiąc o nich specjalnie, nadmienić tylko musimy, że urządzenie wanien jest bardzo prostem, że nie wielkim kosztem można sobie podobną kąpiel elektryczną urządzić w domu, siłę zaś strumienia regulować należy za pośrednictwem galwanometru, a kąpiele brać jedynie z polecenia i pod kontrolą lekarza.

* * *

Znane są najrozmaitsze teorie o nasycaniu powietrza elektrycznością. Nahrwold, po wielu robionych doświadczeniach, doszedł ostatecznie do przekonania, że prawdopodobnie elektryczność mieści się w kurzu, który w wielkiej ilości wypełnia powietrze. Już przed 10 laty fizyk ten wykazał, że stosowny przyrząd elektryczny, zakończony długim konduktorem, w powietrzu pozbawionem kurzu, nie naładowywała się elektrycznością, i odwrotnie wypływająca elektryczność z maszyny nie napełnia powietrza, pozbawionego kurzu, elektrycznością. Skutkiem tego teorya powstawania elektryczności atmosferycznej została w zupełności zmieniona, można bowiem, opierając się na doświadczeniach Nahrwolda twierdzić, że im więcej powietrze zawiera kurzu, tem bardziej daje się nasycać elektrycznością; w ten sposób usprawiedliwionym zostaje pogląd Andries'a, że niebezpieczeństwa piorunów najbardziej zagrażają miejscowościom fabrycznym t. j., takim, gdzie powietrze najbardziej jest wypełnione pyłem i kurzem.

W celu stwierdzenia swego poglądu Nahrwold zbudował przyrząd, za pomocą którego dowodnie można się przekonać, że powietrze znajdujące się pod szklanym dzwonem, daleko łatwiej naładowywała się elektrycznością, jeżeli do wnętrza dzwonu wpuszczymy kurz, parę lub dym tytoniowy.

* * *

W powszechnem będąc użyciu dla celów leczniczych, jak i kosmetycznych, Vaseline, ustępuje dziś miejsca nowemu tłuszczowi, jaki prof. Liebreichs z Berlina wydobyl z wełny owczej. Tłuszcz ten znany jest w handlu pod nazwą *Lanolinum*.

Wiadomo, że w pewnych cierpieniach skóry, jak również w celu utrzymania jej w normalnym stanie, uciekamy się do wcierania tłuszczów. Starano się wynaleźć tłuszcz, oile możności zbliżony, pod względem własności chemicznych, do tego, jaki się wydziela z gruczołków łojowych, będących w skórze. Otóż lanolinum okazało się najwłaściwszem. Dla wydobycia go z wełny traktuje się ją roztworem alkalicznym w aparatach nazwanych *leviatanami*. Woda powstała z my-

cia wełny zawiera ciało tłuste, które następnie oddziela się. Lanolina surowa jest masą brunatną o charakterystycznym, zwierzęcym, dosyć nieprzyjemnym, zapachu i zawiera w sobie około 25% kwasu tłuszczowego wolnego. Oczyszczona zaś jest ciałem tłustem, lepkiem, galaretowatym, koloru żółtawego, o bardzo słabym zapachu, a odczyn ma obojętny (neutralny). Schultzowi udało się z niego wydobyć cholestearynę i alkohol. Lanolinum jest rozpuszczalne w eterze, chloroformie, benzynie, w alkoholu zaś, nawet gorącym, nie rozpuszcza się wcale. Pod wpływem wyższej temperatury topi się i przybiera bardzo szybko kolor brunatny. Z wodą zawierającą cokolwiek węglanu sody tworzy mleczną emulsię, bardzo trwałą i skutkiem tego przydatną do celów kosmetycznych.

(Dokończenie nastąpi).

STYPENDYA SZKOLNE.

(Dokończenie).

— Narcyza *Wiśniewskiego*, stypendyum w ilości rs. 180, dla pilnego i moralnego ucznia, urodzonego w Królestwie Polskiem, wyznania rzymsko-katolickiego, z rodziny zapisodawcy.

— Ksawerego *Rogowskiego* stypendyum w ilości rs. 180, dla ucznia niezamożnego i dobrej kondyty, wyznania rzymsko-katolickiego, Rogowskiego, z pierwszeństwem dla Rogowskiego uczęszczającego do gimnazjum w Kaliszu.

— Kludyusza *Łazowskiego* stypendyum w ilości rs. 113, dla ucznia szkoły realnej w Warszawie, najbiedniejszego, wzorowego sprawowania, noszącego nazwisko Łazowskiego, albo Krzywobłockiego.

— Imienia *Zembrzuskich* stypendyum w ilości rs. 150, dla ucznia wyższego lub średniego zakładu naukowego, potomka płci męskiej z linii zstępnej: 1) Ludwika Zembrzuskiego, Joanny Chrzanowskiej z domu Zembrzuskiej i 2) Józefa i Eleonory z domu Wścieklicia, małżonków Sauvé. Nakoniec dla synów biednej szlachty, mieszkańców gub. siedleckiej—na przedstawienie opiekuna zapisu, p. Jana Zembrzuskiego, zamieszkałego w majątku Mordy, w pow. siedleckim.

— Mikołaja *Modzelewskiego* stypendyum w ilości rs. 200, dla ucznia gimnazjum w Łomży, pochodzenia polskiego, wyznania rzymsko-katolickiego, pierwszeństwo mają Modzelewscy z gub. łomżyńskiej, w braku zaś tych, z innych gubernii kraju tutejszego; wybór służy radzie pedagogicznej gimnazjum w Łomży.

— Józefa *Zakrzewskiego* stypendyum w ilości rs. 62 kop. 50, dla ucznia jednego z zakładów naukowych średnich, Zakrzewskiego, herbu „Wysogota“.

— Ignacego *Trzezińskiego* stypendyów dwa po rs. 90, dla biednych uczniów gimnazjum plockiego, z rodziny Trzezińskich.

— Alexandra *Epsteina* stypendyum w ilości rs. 55, na rok jeden, dla ucznia wyznania mojżeszowego, w zakładzie naukowym wyższym.

— Imienia M. S. *Tolstoj* stypendyum w ilości rs. 75, dla jednego z biedniejszych uczniów gimnazjum plockiego, urodzonego w gub. plockiej, bez różnicy wyznania, pierwszeństwo mają sieroty zupełne — z wyboru małżonki oberpolicmajstra m. Warszawy, M. S. Tolstoj, zamieszkałej w Warszawie.

— Gustawa *Zielińskiego* jedno, dwa, lub trzy stypendya, w ogólnej sumie rs. 150, dla urodzonych we wsiach Skempe, Wierzbzin i Kunowo, w pow. lipnowskim, gub. plockiej, bez różnicy stanu, wyznania rzymsko-katolickiego. Wybór kandydata należy do rady

gminnej Skempe, na przedstawienie opiekuna, p. Józefa Zielińskiego, właściciela dóbr Łążyna, w pow. lipnowskim.

— Franciszka *Jabłońskiego* stypendyów cztery po rs. 135, dla uczniów średnich i wyższych zakładów naukowych, z rodziny zapisodawcy, z wyboru zięciów testatora: Mazurkiewicza, Trzezińskiego, Łuszczewskiego, Manugiewiczza i Czerwińskiego.

— Polikarpa *Wierzbickiego* stypendyum w ilości rs. 134, dla studenta uniwersytetu warszawskiego—Wierzbickiego, herbu Jastrzębiec.

— Imienia L. S. *Stamierowa*, stypendyum w ilości rs. 85, dla uczniów gimnazjum w Lublinie, synów urzędników, albo pozostających w służbie, albo takich, którzy służyli w gub. lubelskiej,—z wyboru L. S. Stamierowa, zamieszkałego w m. Suwałkach.

— Józefa *Korytkowskiego* dwa stypendya po rs. 212 kop. 50, dla uczniów średnich i wyższych zakładów naukowych, przyczem pierwszeństwo mają krewni zapisodawcy, pochodzący w prostej linii od bratanka zapisodawcy, Nikodema Korytkowskiego; następnie dla innych krewnych, z pierwszeństwem dla noszących nazwisko Korytkowskich, chociażby oni byli spokrewnieni w dalszym stopniu z zapisodawcą. Nakoniec, w braku tak jednych, jak i drugich, dla osób, pochodzących w prostej linii od Edwarda Przeździeckiego, — z wyboru i na przedstawienie p. Józefa Korytkowskiego, zamieszkałego w Warszawie.

— Karoliny *Brandysz* stypendyów dwa po rs. 150, dla dwóch uczniów zakładów naukowych w Warszawie, urodzonych w Warszawie, moralnych i pilnych, przyczem pierwszeństwo ma rodzina Bałowski.

Uwaga 1. Kandydaci, mający prawo do powyższych stypendyów i pragnący ubiegać się o takowe, oprócz tych, którzy wnieśli podania, winni zgłosić się do stypendyów z zapisów: Czyżewskiego, Rudnickiego, Wilekiego, Iżyckiej, Ordegi, Sierakowskiej, Zembrzuskiego, Tolstoj, Zielińskiego, Jabłońskiego, Stamierowa i Korytkowskiego—do osób wskazanych wyżej w tekście ogłoszenia, przy każdym z rzeczonych stypendyów; Modzelewskiego—do dyrektora gimnazjum w Łomży; z sumy rs. 15,000—do warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności. Co zaś do pozostałych zapisów, pragnący ubiegać się o stypendya winni przedstawić podanie z dowodami, wprost do JW. kuratora okręgu naukowego warszawskiego, w terminie najpóźniej do dnia 1 (13) grudnia r. b.

Uwaga 2. Do dowodów przedstawianych przy prośbach do JW. kuratora okręgu naukowego, pisanych nie w języku ruskim, powinny być dołączone tłumaczenia takowych na język ruski, należyście poświadczone; w przeciwnym razie prośby pozostaną bez skutku.

I sza Szkoła koronkarstwa

Nauka bezpłatna.

Kurs nauki koronek rozpoczął się d. 24 Listopada. Zapis odbywa się w Poniedziałki, Wtorki i Czwartki od godziny 12-iej do 1-iej z południa. Desenie i przybory do wyrobu koronek nabyć można w szkole. Krakowskie-Przedmieście Nr 42, mieszkania Nr 3.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się Arkusz 1szy- i 2-gi powieści pod tytułem: *Książę Saracinesca*, przez M. Crawford.

TREŚĆ: Życie i praca, przez M. Pniaką — Pogawędka. — Irlandczyk u siebie. — Filistry, powieść, (dalszy ciąg), przez M. Gawalewicza. — Książki dla młodzieży dzieci. — Z działu przyrody.

Dodatek obejmuje: Arkusz 1-szy i 2-gi powieści pod tytułem: *Książę Saracinesca*, przez Maryą Crawford. — 41 wzorów ubiorów i robót opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycyą stchu.

Warszawa. — Druk S. Orgelbranda Synów, Krakowskie-Przedmieście Nr 66.

Дозволено Цензурою. — Варшава, 25 Ноября 1887 года

Redaktor odpowiedzialny Michał Glucksberg

Kamasz dla dzieci od 2 do 3 lat szydełkową robotą.

Ryena Nr 6 w B. Nr 48.

Kamasz wykonać białą zefirową włóczką, ściślemi ocz. i tak w górnym jak w dolnym brzegu otoczona rzędem zębów obrobionych na około białą pelą. Rozpocząć z górnego brzegu od założenia 40 ocz., które połączyć w koło. Kolej 1: 1 ściś. o., ciągle w 1 ocz. Kolej 2 ciągle 1 ściś. ocz. w każde z poprzedniej kolei. Kolej 3 do 47 jak poprzednie. Dla uwydatnienia formy wykonać klin na kolano, mianowicie po 25 ściś. ocz. 4 kolei, na 10 ostatnich ocz. tejże, wracając tam i napowrót wykonać 14 kolei, w których począwszy od 2, do końca każdej następnej kolei po 2 ocz. przybrać (oprócz kolei 5 i 7 w których się

każdych dwóch następujących, tak na początku, jak na końcu dwa ocz. razem przerobić. Następnie obwieść dolny brzeg 1 kolejną ściś. ocz. i rzędem łuków: Kolej 1: * 1 ściś. ocz. w najbliższe ocz. ostatniej kolei, 2 pow. ocz., 3 słupki w te same ocz. w którym poprzednie ściś. o. były wykonane, 1 o. opuścić, od * powtórzyć. Na ostatek 1 ściś. ocz. łań. w 1 ściś. ocz. tejże kolei. Kolej 2 pelą: * 1 ściś. ocz. w najbliższe ści. o., 2 pow. ocz., 1 ściś. ocz. w następne 2 pow. ocz., 3 pow. o., od * powtórzyć, a na koniec 1 ściś. o. łańc. w 1 ściś. ocz. tejże kolei. W górnym brzegu wykonać także 2 koleje i zaopatrzyć kamasze w strzemiączka, które rozpocząć na założeniu 6 ocz. pow. tam i napowrót i 12 kolei ści. ocz. wykonać.



Nr 1. Kapturek z pluszu. Krój i opis pierw. str. tabl. Nr VI, fig. 33 i 34.

Nr 2. Kapturek damski robotą szydełkową. Krój pierw. str. tabl. Nr III, fig. 16.



Nr 3. Suknia z gładkiego i w pasy materiału. Przód. (Do ryc. 25 w Blu. Nr 50).

przybiera tylko po 1 ocz.) od ocz. dotąd wolnych z obu stron 3 i 4 kolei, a mianowicie przy 1 z nich 2 ocz. ująć, 1 ocz. w 3 lub 4 kolei w którym ostatnie ściś. ocz. przedostatniej kolei było wykonane i 1 ocz. w najbliższe wolne ocz., obydwie ocz. razem przerobić i jeszcze 1 ściś. ocz. w następne wolne ocz.; pozostawić 1 oczko nie przerobione w powyżej wymienionej kolei. Następnie na klin kolanowy gubić od 5 do 9 kolei. Na początku 5 kolej przerobić razem 3 i 4 ściś. ocz. Na początku 6 kolei 4 i 3 przed zakończeniem tejże kolei. Na początku 8 kolei 3 i 2, a na początku 9 kolei 2 i 1 ocz. razem przerobić. Oprócz tego na początku kolei 25, 29, 33, 36 i 38, a przed zakończeniem 26, 30, 34, 37 i 39 ciągle po 2 oczka razem przerabiać. Po skończeniu 47 kolei, nitkę zamocowawszy urwać i rozpocząć inną nitką piętę, na ostatnich i pierwszych 8 ściś. ocz. ostatniej kolei, ciągle w tę samą stronę 7 kolei ściś. o., a na zakończenie w tych ostatnich 7 kolejach, na boczny klin i na stopę jeszcze 16 kolei ciągle w tę samą stronę, a mianowicie: 7 ściś. ocz. w brzeźne ocz. poprzednich 7 kolei. Następnie 1 ściś. ocz. w wolne jeszcze ocz. 47 kolei, gdzie oprócz tego pierwsze i ostatnie 2 ocz. przerobić razem. Na zakończenie 7 ściś. ocz. w ocz. brzeźne, po drugiej stronie pięty. W następującej, oraz w każdej z trzech następnych kolei, wykonać po dwa ocz. w prostym kierunku nad ocz. razem przerobionymi w poprzedniej kolei, a od 3 z tych ostatnich 16 kolei przy

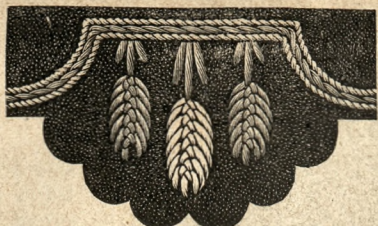


Nr 4. Suknia ozdobiona sutaszem. Przód. (Do r. 24 w Bl. Nr 50). Krój i opis o lwr. str. tabl. Nr. XVII, fig. 172-82

Koszyczek na resztki włóczki.

Rycina Nr 5 i 6.

Koszyczek w połowie bejcowany, w połowie złożony, otoczony haftowanymi na aksamicie zębami. Ryc. 5 przedstawia wzór zębów z aksamitu oliwkowego, na którym znajdują się figury wykonane rozpolowioną filozelą koloru palonej cegły i niebieską, ścięciem pocztowym. Otaczający pasek wykonać ścięciem gałązkowym, jedwabiem koloru „viel-or“ i ciemno-pasową karbowaną przędzą. Górny brzeg zewnętrzny otoczony bombelkami ze szneli i złotych



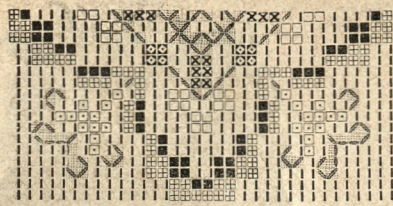
Nr 5. Ozdoba do koszyczka ryc. 6.



Nr 6. Koszyczek na resztki włóczki. (Do ryc. 3).



Nr 9. Lalka w poduszce haftowanej. (Do r. 13 i 22). Opis odw. s. tab.



■ ciemno-zielony, □ jasno-zielony, □ ciemno-pasowy, □ jasno-pasowy, * ciemno-niebieski, □ jasno-niebieski, 1 tło. Nr 7. Połowa deseni do ryc. 8.



Nr 8. Poduszczyca do igieł. (Do ryc. 7).



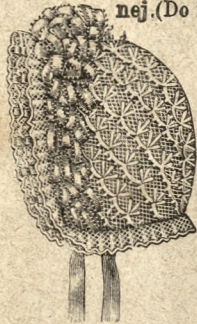
Nr 12. Podstawka do biletów haftowana. Wzór pierw. str. tabl. Nr VII, fig. 35.



Nr 18. Lalka w długiej sukience. (Do ryc. 14) Krój i opis odw. str. tabl. Nr XV, fig. 64—58.



Nr 11. Popielniczka haftowana. Desen pierw. str. tabl. Nr VIII, fig. 36



Nr 13. Czepczek dla lalki r. 9. Opis odw. str. tabl.



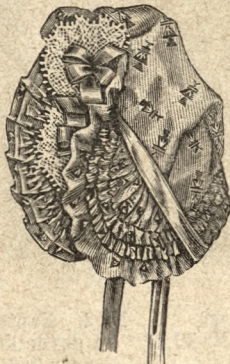
Nr 10. Bucik lalki szydełkową robotą.



Nr 14. Kapelusik dla lalki (Do ryc. 18). Krój i opis odw. str. tabl. Nr XIII, fig. 61 i 62.



Nr 15. Majtki dla lalki. (Do ryc. 19).



Nr 17. Kapelusik dla lalki. (Do ryc. 19). Opis pierw. str. tabl.



Nr 16. Spódniczka dla lalki. (Do r. 19). Krój i opis odw. str. tabl. Nr XIV, fig. 24.



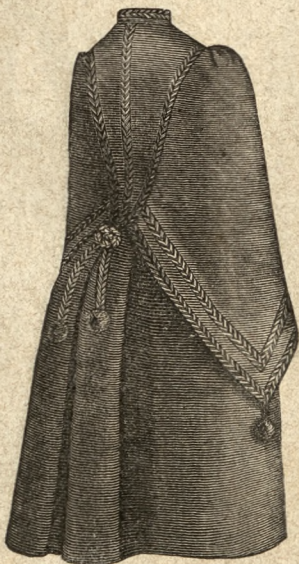
Nr 19. Ubranie lalki. (Do ryc. 15—17 i 23). Krój pierw. str. tabl. Nr V, fig. 28—32.

nici, wewnętrzny zaś stosowną pasmante-ryą, mniej więcej na 1 cent. szeroką.

Książeczka do igieł z poduszczyką.

Rycina Nr 7 i 8.

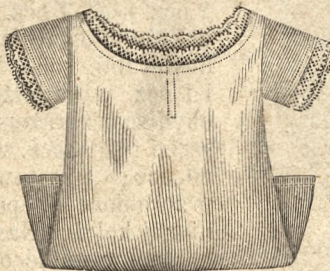
Wykroić z tektury dwa kółka $7\frac{1}{2}$ centim. średnicy, obciąć stronę wewnętrzną gładko atłasem oliwkowego koloru i otoczyć brzegiem z tektury, mniej więcej na 1 cent. szeroko, wsuniętym nieco ku wewnętrznej stronie i razem z częścią wierzchnią, podbitą watą, pokryć jednocześnie atłasem. Następnie obie okrągłe części pokryć haftowanym kwadratem, $7\frac{1}{2}$ cent. wielkim, którego wzór przedstawia ryc. 7, na żółtawej, złotem przerabianej tkaninie, rozmaitego koloru filozelą, ścięciem krzyżowym i Holbeina (każdy ścieg przez dwie nitki tkaniny tak na wysokość, jak szerokość). Zewnętrzny brzeg haftu otoczyć złotym galonem na $\frac{1}{3}$ cent. szeroko. Następnie drugą połowę otoczyć na 2 cent. szeroko oliwkowym pluszem, w ten sposób, ażeby przy zamykaniu książeczki, obejmował brzeg pierwszej połowy. Zamocować na tymże wykonany szydełkiem galon z brylantowej przędzy i takież sam



Nr 20. Okrycie lalki. (Do ryc. 21). Krój i opis odw. str. tabl. Nr XI, fig. 54—57.

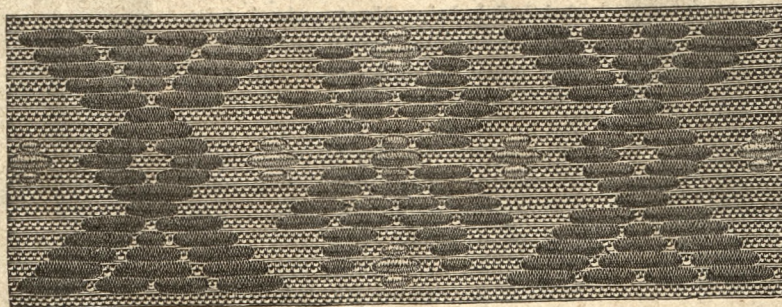


Nr 22. Kaftanik lalki. (Do r. 9). Krój i opis odw. str. tabl. Nr XII, fig. 58—60



Nr 23. Koszulka lalki. (Do r. 19). Krój i opis odw. str. tabl. Nr XVII, fig. 70 i 71.

pałaczek. Na drugiej połowie zewnętrznej, ułożyć kawałek białej fanelki wycinanej w ząbki, przeciągnąć podwójnym złotym sznureczkiem, z którego jednocześnie wykonać pentelkę do otwierania książeczki. Okrągłe części połączyć ze sobą kilku ściegami. Pasek otaczający wykonać szydełkiem w następujący sposób: Kolej 1: 2 pow. ocz., 1 ocz. z tychże ująć i obydwa oczka znajdujące się na szydełku, przerobić razem, potem ciągle 1 oczko, z tychże oczek ujętych ująć i z powrotem na szydełku razem przerobić. Kolej 2 ciągle naprzemian: 1 słup. w następne ocz., 1 pow. ocz., 1 ocz. opuścić. Kolej 3 ciągle: 1 o. ścis. łańc. w każde ocz. Pałaczek rozpocząć na



Nr 24. Szlak do koszyczka na klucze,

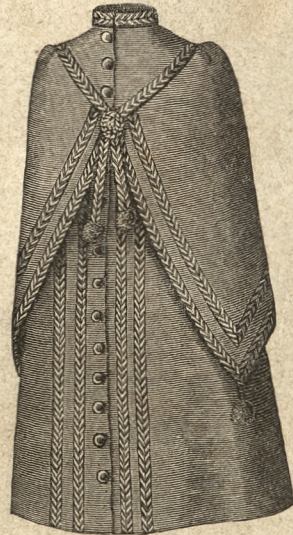
złożeniu 34 ocz., na czym wykonać 1 słup. w 6 następne o., a potem ciągle naprzemian: 1 pow. ocz., 1 o. opuścić, 1 słup. w następne ocz. Po skończeniu tej kolei słup., przeciągnąć takowe jedwabnym sznurkiem oliwkowego koloru i przymocować go z dwóch stron pałaczka, gwiazdką wykonaną szydełkiem: 5 pow. ocz. połączyć w koło 1 ścis. ocz., 3 pow. oczka, 18 słup. w koło i 1 ścis. ocz. w 3 pow. ocz.

Trzewiki lalki robotą szydełkową.

Rycina Nr 10.

Trzewiki wykonane ścięciem tunetańskim, białą zefirową włóczką, otoczona w górnym brzegu pikotami, przez które przeciągnięty sznureczek zakończony kwastami, a z przodu wiązany na kokardkę. Rozpocząć od tylnego środka, na założeniu 5 pow. ocz. z których w powrotnej kolei w pierwszym rzędzie deseni 4 ocz. przybrać i w powrotnej kolei takowe razem przerobić. Potem następuje 6 rzędów niezmienionej liczby ocz., ale od 8 do 10 kolei,

zawsze ostatnie ocz. z poprzedniego rzędu pozostawić wolne. Od 11 do 13 kolei przybrać po 1 ocz., z pozostałego poprzednio nieruszonego, tak, że ostatni rząd ma liczyć 5 ocz. Następnie wykonać od 14 do 20 rzędu, w niezmienionej liczbie ocz. i umocować nitkę. Na górną część bucika wykonać 1 rząd, przy tem tak z rzędów ocz. 14 i 7, jakoteż i pomiędzy temi powyżej znajdującej się żyłki, dla przybierania i ujmowania 1 ocz. ująć. Umocować nitkę i założyć nową w 20 rząd. Wykonać w górnym rzędzie bucika 1 rząd z 15 ocz. Następnie 3 rzędy

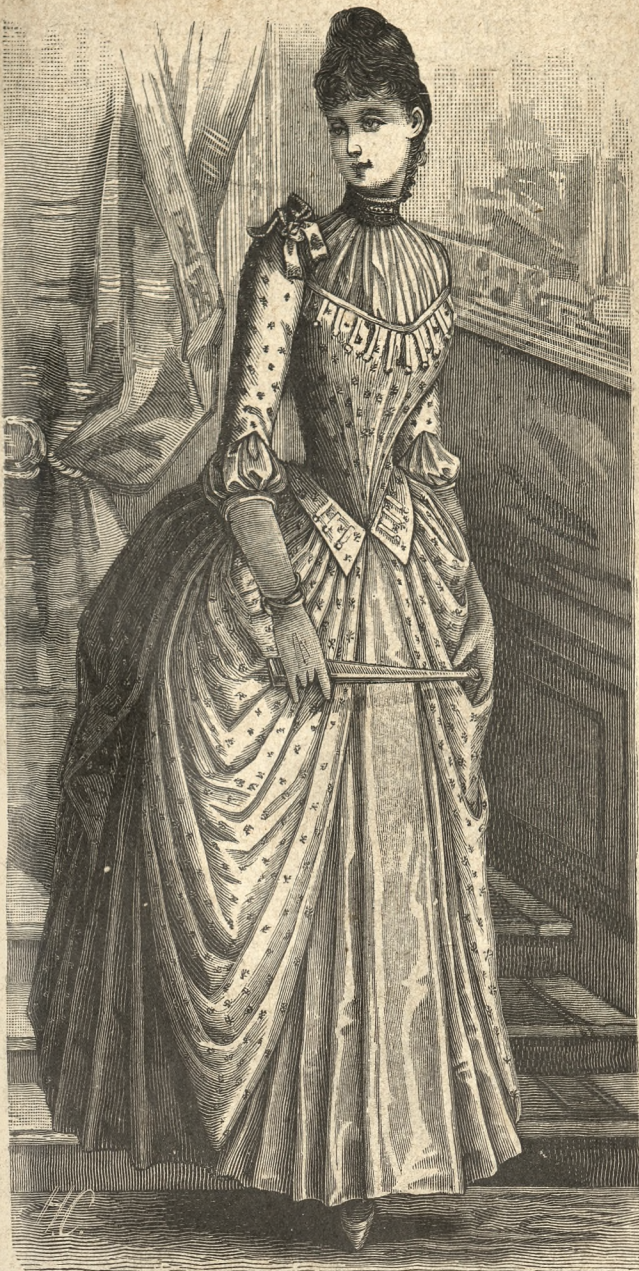


Nr 21. Okrycie lalki. (Do ryc. 20).

Lalka w długiej sukience.

Rycina Nr 18. Krój odwr. str. tabl. Nr, XV, fig. 64-68.

Lalka ubrana w koszulkę, spódniczkę i długą sukienkę, oraz w buciki szydełkowe (ryc. 10) i kapelusik (ryc. 14), koszulka i spodniczka z białego batystu, ta ostatnia 24 cent. długa, a 40 cent. szeroka, ozdobiona u dołu wążką koronką i nawleczona tasiemką w górnym brzegu. Co do sukienki, ukroić podszewkę podług fig. 64, a z kremowego materiału podług fig. 65 po jednej części, podług fig. 68 po dwie części złożonej wzdłuż środka i fig. 67, podług fig. 66 dwie części. Wierzchni materiał ułożyć w fałdy, przymocować \dagger na kropkę i przyfastrygiować do podszewki. Połączyć fig. 64 i 67 podług liczb. Następnie przyszyć stanik do spódniczki 30 cent. długiej, a 60 c. szerokiej, obrębionej w dolnym brzegu a zmarszczonym w górnym. Wszyć



Nr 25. Suknia wizytowa dla młodej pani.



Nr 26. Suknia z wełnianego materiału i pluszu.



Nr 27 i 28. Ubranie ranne dla chłopczyka od 4 do 7 lat. Krój i opis pierw. str. tabl. Nr I, fig 1-4.

tej samej liczby ocz., 1 kolej ścis. o., w łańcuskowe ocz. ostatniego rzędu. Na pikoty wykonać 1 ścis. ocz. \dagger w następnie ocz., 7 razy naprzemian: 1 pikot, 1 ści. ocz. w następnie z rzędu 2 ocz.; podeszewkę wykonać na założeniu 4 pow. o. 8 rzędów i połączyć takową z bucikiem, po spojeniu tylnej części tegoż.

Popielniczka haftowana.

Rycina Nr 11.

Popielniczka nielowa w kształcie wiaderka, ozdobiona szlaczkiem haftowanym, przymocowana za pomocą skórzanego paska, do podkowy nielowej, na płaskiej drewnianej podstawie. Podkowa ta pokryta pluszem koloru oliwkowego, a z pod spodu tekturą podklejona i materiałem bawełnianym. Haft wykonać podług fig. 36 na skórze koloru oliwkowego, ścięciem pocztowym złotymi niemi i kolorowym jedwabiem; otoczyć wazkim paskiem pluszu.



Nr 29. Ubranie dla chłopczyka od 3 do 4 lat. Krój i opis pierw. str. tabl. Nr IV, fig. 17 - 27.

Nr 30. Ubranie dla chłopczyka od 5 do 7 lat. Krój i opis odwr. str. tabl. Nr IX, fig. 37-47.

Nr 31. Sukienka dla pani od 10 do 15 lat. Krój i opis pier. str. tabl. Nr II, fig. 5-15.

rękawki podług liczb, w staniczek zapinany na haftki i koniki.

Suknia wizytowa dla młodej osoby.

Rycina Nr 25

Spódnica z różowego atlasu, pokryta jest z przodu i z tyłu falbaną z tegoż koloru surah, 70 c. wysoką, a 500 c. obwodu mającą, ułożoną na około fałdy, a z przodu w szeroka kontrafałdę. Tiunika i stanik wykonane z batystu w deseń. Stanik podcięty śpiczasto, ozdobiony małymi połami, oraz koszulką z różowego surah. Rękawy mają takież pufik; kołnierzyk i kokardy z różowej wstążki, uzupełniają stanik z tyłu sznurowany.

Suknia z wełny i pluszu.

Rycina Nr 26.

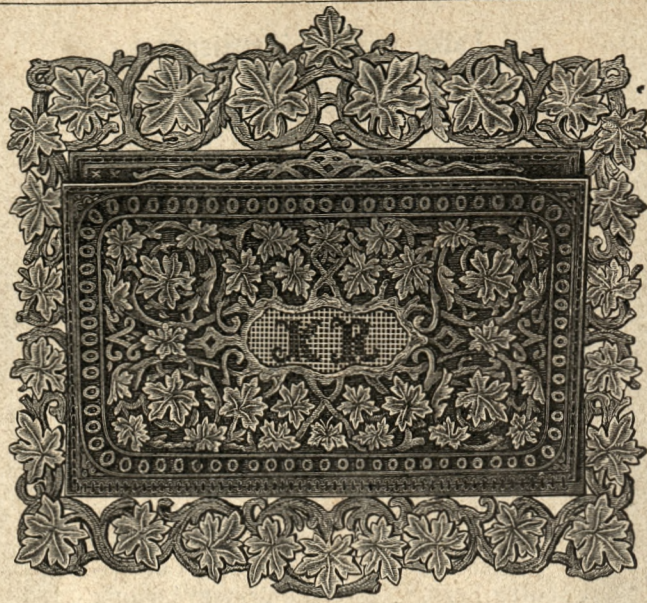
Spódnica z kamlotu 216 cent. szer. pokryta falbaną 500 c. szeroką z gładkiej wełny i ułożoną w fałdy; z prawej strony zdobią ją 2 pasy 20 cent. szerokie z brązowego pluszu „sillon“. Tiunikę ukroić z wełny podług fig. I do 40 części zmniejsz.

szony (liczy oznaczone literami *a*, *b* i *c* na zewnątrz, oznaczają punkta dla konturów i znaków, liczby zaś znajdujące się wewnątrz konturów, przedstawiają szerokość i długość części). Tiunikę po lewej stronie przybrać pluszem podług ryciny, złożyć † na kropkę, oraz † oznaczone literą *d*, złożyć w fałdy na punkt *d*, wyłożyć materiał wzdłuż kropkowanej linii ku lewej stronie, jak również dolny róg w rodzaju wyłogu, trafiając * na *. Stanik przybrać rodzajem napierśnika z surah i wylogami z pluszu podług ryciny.

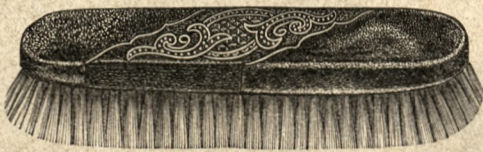
Przepisy gospodarskie.

Nowy rodzaj tortu zwany „provence“.

Przed dwoma laty przywiozłam sama z Krakowa tort tego rodzaju, a cukiernia „Bott'a i Clotin'a“ wyrabia od tego czasu wyborne podobne torty — sama zaś teraz dopiero korzystając z uprzejmości jednej z prenumeraterek Biuszczu pani Zofii W., dowiedziałam się sposobu robienia, a wypróbowałam go, podając moim czytelnikom z własnym doświadczeniem i własnymi dodatkami. Funt migdałów oparzonych utłuc w moździerzu, jeżeli mo-



Nr 32. Teka na gazety i listy.



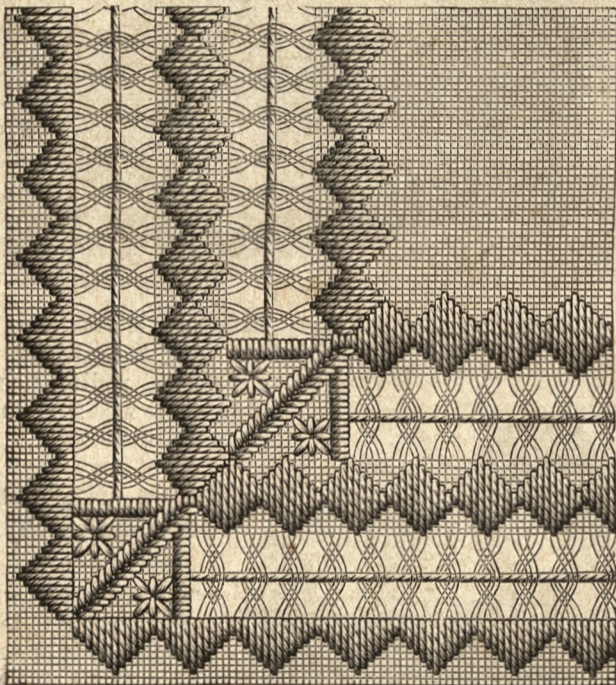
Nr 33. Szczotka do ubrań haftowana. Deseń odwr. str. tabl. Nr XX, fig. 84.



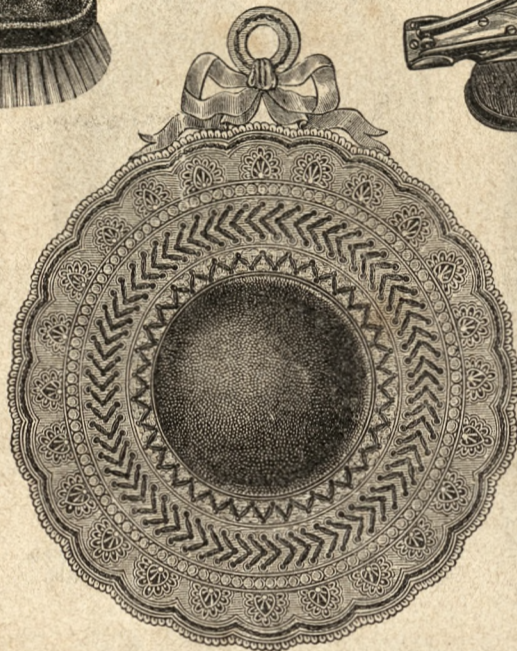
Nr 34. Gładyszka w futerałe. Deseń odwr. str. tabl. Nr XIX, fig. 83.

Do dzisiejszego numeru dołącza się Tablica krojów.

L. C.



Nr 36. Wązki szlak do serwety ryc. 37.



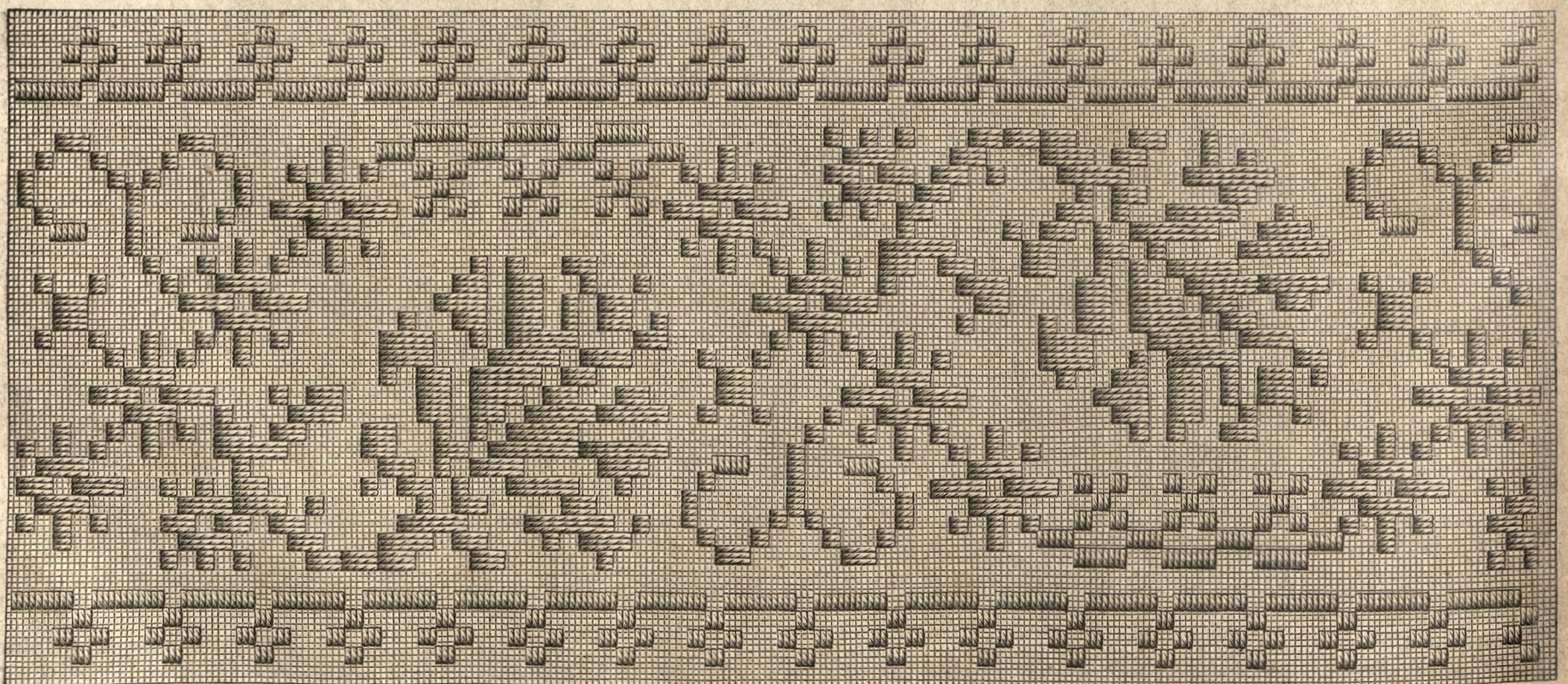
Nr 35. Poduszka wisząca do igieł

Obiad na Niedzielę.

1. Bulion z grzankami.
2. Befszyk z kartoffami.
3. Zając z kapustą surową na salacie.
4. Szarlotka z jabłek w cieście.



Nr 37. Serweta na stół. (Do ryc. 36 i 38).



Nr 38. Szeroki szlak do serwety ryc. 37.